

GAZETA

LEŚNA: MYŚLIWSKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH,
MYŚLIWYCH I MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY

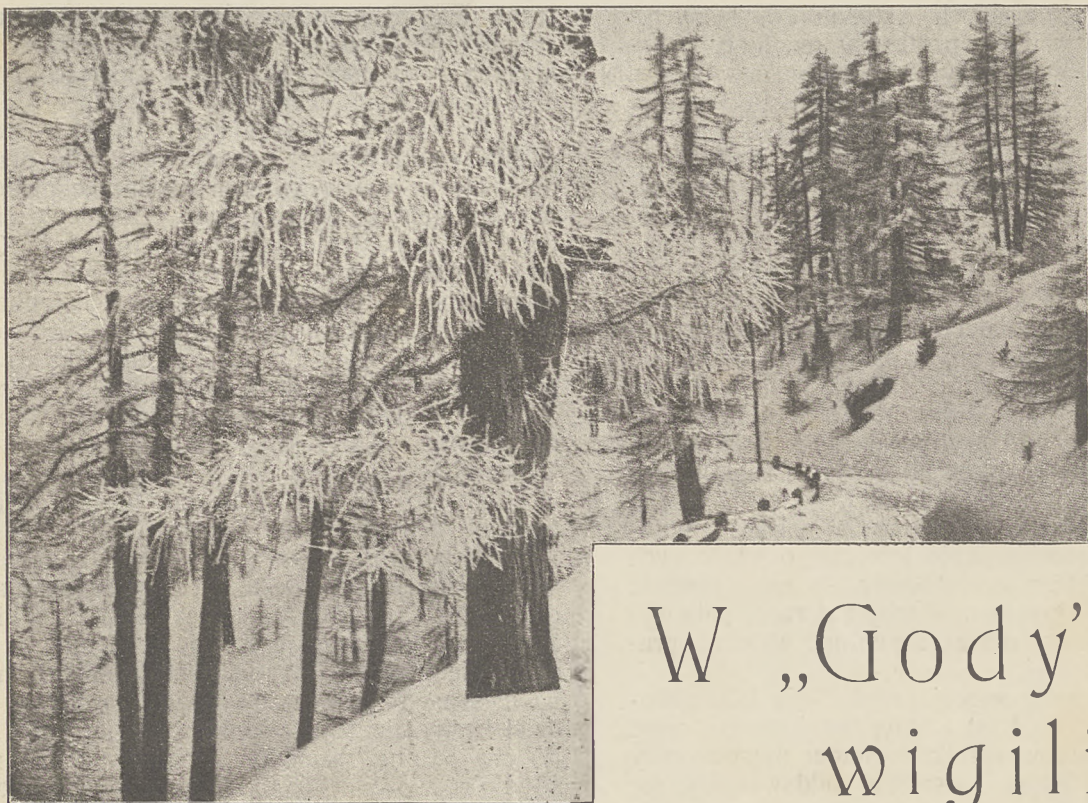
Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.

№ 24.

WARSZAWA.

15 Grudnia 1913 r.

Rok II.



W „Gody” wigilijne.

Zwyczajem od wieków na polskiej ziemi przyjętym każda rodzina w ów wieczór wigilijny, gdy na niebie zajaśnieje symboliczna „Gwiazdka Betleemska”, przystępuje do dzielenia się opłatkiem.

Przecudne to misterium bodaj na krótką chwilę jednoczy rozproszonych i każe im zapomnieć o troskach żywota, o urazach wzajemnych, o walkach, staczanych codziennie, o znojach, związanych z warunkami twardego bytowania naszego.

Pismo każde posiada również takie kółko rodzinne, składają się zaś na nie nietylko naj-

bliżsi współpracownicy, ale i wszyscy zwolennicy i czytelnicy.

Tem większe jeszcze prawo do uważania czytelników swoich za kółko ściśle rodzinne ma nasza „Gazeta Leśna i Myśliwska”, która przecież pracuje i działa wyłącznie dla ludzi zwartych silnie jednym, wspólnym nam wszystkim zawodem.

Leśnicy polscy—to nasza najbliższa rodzina, jakżebyśmy zatem nie mieli w dzień uroczystych Godów Wigilijnych pośpieszyć ku nim z opłatkiem? Jakżebyśmy nie mieli przy tak wielkiem, takim rodzinnem święcie nie złożyć wszystkim

i każdemu z osobna życzeń, płynących z głębi wezbranego uczuciem koleżeńskim serca?

A czegoż wam znów życzyć, jeśli nie wytrwania i przetrwania w czasach, zaiste, bardzo dla nas wszystkich smutnych i ponurych?

I siła ku temu wytrwaniu znaleźć się musi, jeśli bowiem kto, to właśnie leśnik każdy wie najlepiej, iż największe skorupy lodowe pękają pod ożywczym działaniem wiosennego słońca.

Więc z wiarą i nadzieją dążmy wciąż naprzód!

Oto streszczenie najgorętszych życzeń, które czytelnikom naszym ślemy dzisiaj wraz z symbolicznym opłatkiem.

Do siego roku!

Redakcja.

Co było powodem utworzenia „Związku Leśników”?

W dniu 7-ym b. m. przy okazji zebrania rocznego w „Wydziale Leśnym” ze strony prezydium wystąpiono z namiętną przemową, skierowaną pod adresem tworzącego się obecnie „Związku Leśników”, zaproponowano też rezolucję, potępiającą to stowarzyszenie za jego „krecią robotę” i „postępowanie nieobywatelskie” szkodliwe dla naszych „stosunków leśnych.” Wskutek rozmaitych protestów rezolucja ta została złagodzona i przyjęta większością głosów.

Nie będę tutaj rozbiarał przebiegu dyskusji, sposobu głosowania i t. p., pragnę tylko krótko zaznaczyć, że głównie panowie z „Rady” najzwzięciej występowali przeciw temu stowarzyszeniu, a zwłaszcza pp. Ziatkowski i Czaplicki, osoby najwięcej w tym wypadku zainteresowane.

Co tych dwóch panów spowodowało do przeważnego zabierania głosu przeciw Związkowi, to już rzecz znana tylko mnie i jeszcze kilku bliżej wtajemniczonym osobom, zresztą nie gra to w tym wypadku żadnej roli, ogółu zaś leśników nie mogą interesować czysto konkurencyjne motywy, wpływające z działalności kupieckiej pp. Ziatkowskiego i Czaplickiego. Zabierając głos w tej niemiłej materji, pragnę odparować zarzuty czynione Związkowi i poinformować szerokie koła leśnicze o właściwych powodach, które nas skłoniły do zainicjowania nowego Towarzystwa. Ażeby zaś rzecz całą wyłożyć zrozumiale, muszę się cofnąć wstecz i sprawę omówić bliżej.

Kiedy mniej więcej przed 5-ciu laty utworzony został Wydział Leśny, na którego czele stanął wszystkim leśnikom nader sympatyczny hr. Zygmunt Plater, wszyscy oddawaliśmy się słodkim iluzjom, iż stowarzyszenie to stanie się dla nas pomocą i reprezentacją naszych upragnionych interesów zawodowych. Z taką samą radością przyjęto pierwszy organ zawodowy pt. „Leśnik Polski,” który też zrazu przedstawiał się bardzo nęcąco.

Złudzenia nasze trwały bardzo krótko. Najpierw ukazywać się zaczęły nieszczęsne krytyki publikacji p. p. Olszowskiego, Łączkowskiego i mojej małości, cenzurowanie interesującego artykułu p. Miłobędzkiego itp., co wszystko razem naszych kolegów po fachu skłoniło do zaprzestania współpracy w „Leśniku Polskim,” ażeby uniknąć takich „miłych” recenzji.

Tak samo, jak nie mogła podobać się treść

„Leśnika Polskiego,” a zwłaszcza jego zjadliwe wycieczki, tak samo też nie mogła nikogo zadowolnić działalność samego Wydziału. Jedno, lub dwa zebrania na rok, na które zbierali się kiedy zupełnie nie znający się pomiędzy sobą i nie mający sposobności do bliższego poznamienia się i nawiązania stosunków towarzyskich, dalej jedna wycieczka rocznie, z której istotnie uczestnicy ciągnąć mogli jakąkolwiek korzyść praktyczną — wszystko to było stanowczo zamało, ażeby zaspokoić skromne wymagania członków.

Pozostawał jeszcze ważny dział pośredniczenia w otrzymaniu posad, ale i tutaj przekonano się w bardzo krótkim czasie, że protekcja najwybitniejszą odgrywa rolę. Dołączyło się do tego niezadowolenie ze składu „Rady” i „Komitetu Redakcyjnego.” Wysoce pożądanymi i dla wszystkich nadzwyczaj sympatycznymi członkami, jak np. hr. Jan Zamoyski, Jezierski, Miłobędzki, Fryben i inni opuścili swoje stanowiska i zastąpieni zostali przez ślepo oddanych pp. Czaplickiemu i Miklaszewskiemu kandydatów. W ostatnich czasach na szczęście weszło znów kilku mile widzianych członków Rady, a mianowicie: pp. Kreśkiewicz, Galewski i Pracki, ale stało się to zapóźno dla odrobienia złego.

Wszystko to razem wywołało taki nastrój wśród członków, że doszli oni do przekonania, iż dopóki pp. Czaplicki, Ziatkowski, Szabłowski i Miklaszewski zasiadają w Radzie i Komitecie, dopóty nie można się spodziewać żadnych zmian na lepsze. A ponieważ w takich warunkach Wydział Leśny nie daje członkom swoim tego, czego oni pragną, sami zaś członkowie nie mają siły do zaprowadzenia zmian, przeto główna część członków woli na posiedzenia wcale nie przychodzić.

Potrzebę zrzeszenia się odczuwają wszyscy dobrze myślący leśnicy, wobec tego jednak, że Wydział Leśny w ten sposób prowadzony, jak to się dzieje obecnie, nie może głównego kontyngensu leśników zadowolić, powzięto myśl powołania do życia nowej, własnej i odpowiadającej życzeniom wszystkich korporacji. Jakkolwiek czcigodny prezes Wydziału oświadczył na posiedzeniu, że „jeżeli komu Zarząd się nie podoba, to można go rozpedzić i wybrać inny,” to przecież wiemy wszyscy, iż łatwiej to powiedzieć, aniżeli przeprowadzić. Posiedzenia ogólne właśnie z tej racji, że ogół leśników trzyma

się od Wydziału zdaleka, noszą na sobie tę cechę, że stawiają się na nie członkowie „starej gwardji,” którzy z zarządem idą ręką w rękę i tworzą jego podporę. Rzecz przeto naturalna, że zwolennicy muszą zwyciężyć i wobec tego wciąż przechodzą kandydaci mile przez Zarząd widziani. A przecież już choćby to jedno tworzy dziwną anomalję, że w stowarzyszeniu, w którym leśnicy posiadają 90% ogółu członków, Rada składa się w połowie z właścicieli ziemskich.

podać wyraźnie na tem miejscu imiona i nazwiska owych „obywateli.”

Dopóki Wydział Leśny nie zaspokoi żądań i życzeń ogółu leśników, dopóty istnienie „Związku” będzie zupełnie uprawnione. Szkodzić Wydziałowi ani nam postać w głowie, chcemy jednak żyć życiem zupełnie samodzielnem, bez potrzeby krępowania się niemiłą atmosferą, panującą w Wydziale. Zresztą sam program naszego Związku odbiega bardzo daleko od zakre-



(Fotogr. Szarjusz-Wolski).

W Olesznie u p. S. Niemojewskiego odbyło się polowanie na dziki, kozły, zające i bażanty, w którym uczestniczyli: stoi p. S. Niemojewski—gospodarz, siedzą: pp. F. Zdziechowski, Karso, pani Edwardowa Reszke, pani Janasz, p. Rachmanow, pani Kieszkowska, p. Edw. Reszke, jego uczeń anglik Duglas, p. W. Reszke, p. Saryusz-Bielski, p. Gławcze, Książę Golicyn, K. hr. Skarbek, panna J. Reszke, bar. Kronenberg (junior), p. Grabowski, p. W. Tymowski, p. Biedrzycki, J. hr. Skarbek i administrator p. Grudziński.

Taki brak proporcji wywoływał już nieraz oburzenie w sferach leśników.

Postępowanie moje i tych leśników którzy się około „Gazety Leśnej i Myśliwskiej” zgrupowali, usiłowano potępić jako czyn nie obywatelski, a tego samego jeszcze dnia dwóch panów z Rady podczas bytności w Resursie Obywatelskiej proklamowało bojkot mojego pisma i mojego biura, a nawet posuwano się tak daleko, że starano się odmawiać nam kupców, umieszczających w „Gazecie” swoje ogłoszenia! Jak takie postępowanie nazwać? Czy bojkot polskiego pisma zalicza się do „czynów obywatelskich.” Nie wymieniam narazie nazwisk, zastrzegam sobie jednak prawo, jeżeli się tego okaże potrzeba,

su działania Wydziału. Ten ostatni stworzony jest więcej dla obrony interesów właścicieli lasów, nam zaś głównie chodzi o interesa pracowników.

Z chwilą, gdy Wydział *nie tylko* rozwinie swoją działalność w kierunku interesów właścicieli, ale *również* stanie się przedstawicielem stanu leśnego, wtedy będziemy pierwsi, którzy głosować będą za tem, ażeby te dwa Związki zlały się w jedną całość, wówczas bowiem Związek pozbawiony zostanie racji swego istnienia. Ale też w takim razie musielibyśmy osiąść zupełne gwarancje, że żądanie leśników stanowiących 90% ogółu członków, zostaną w pełni zaspokojone. Dziś o tem nawet nie można marzyć

i dlatego *Związek nasz powstać musi*, bez względu na to, czy uzyska on pochwałę, czy też potępienie szanownej Rady i jeszcze szanowniejszego Komitetu Redakcyjnego. Że istnienie nowej korporacji jest pożądane, i że ma ona wszelkie dane do istnienia i rozwoju, o tem świadczy najlepiej wprost nadzwyczajne zainteresowanie się ogółu leśników losami naszego projektu. Ci koledzy nasi bowiem wymagają dla siebie własnego kąta, gdzie czuliby się jak w domu, gdzie każdego dnia w ciągu roku podczas bytności swojej w Warszawie mogliby przepędzić kilka chwil czy też godzin, zawierać znajomości z kolegami, wchodzić z nimi w bliższe stosunki, gdzie wreszcie niczem niekrępowani mogliby zawsze znaleźć radę i pomoc w potrzebie.

Tego nie daje im Wydział Leśny, a atmosfera zaś jest tam taka, że zmrozić ona musi najlepsze nawet porady.

Pójdźmy dalej. Jedną z najważniejszych spraw, ogół leśników najbardziej interesującą jest pośrednictwo pracy. Wiadomo wszystkim, że te nieliczne posady, jakie Wydział

rozdął członkom, otrzymali wyłącznie protegowani kandydaci. Natomiast Związek o wszystkich wakujących posadach będzie powiadamiał członków swoich, zostawiając im swobodę konkurencji.

System, którego przy rozdawaniu posad trzymał się Wydział, musiał sprawić, że tylko niewiele osób zostało uszczęśliwionych, podczas gdy jedno tylko moje Centralne Biuro Leśne w ciągu niezbyt długiego jeszcze istnienia, zdołało pośredniczyć przy obsadzeniu 67-iu posad. Ten znakomity rezultat mogłem osiągnąć tylko dlatego, że właściciele dóbr widocznie mają zaufanie do mnie i wiedzą, iż nie narzucam im nie zdolnych osób protegowanych.

Z zasady nie robiłem nigdy różnicy, czy kandydat do posady skończył Puławę, Tharandt, Lwów, albo inny zakład naukowy w kraju, lub zagranicą, czy też kwalifikacje zdobył drogą sumiennej praktyki; w Wydziale Leśnym wobec kolegów naszych trochę innemu rządono się zasadami.

Żywotność każdego stowarzyszenia objawia się zawsze w tem, co ono robi i do czego jest zdolne. Inicjatywy potrzeba ze strony kierowników, niewolno zaś być ospałym, ani też przy ogniu towarzystwa piec własną swoją pieczę.

Życzymy Wydziałowi, ażeby istniał i rozwijał się dalej, jesteśmy też przekonani, że większość naszych kolegów podziela ten pogląd. Nie przeszkadza to jednak wcale, ażeby również Związek Leśników nie mógł istnieć i rozwijać się, tem więcej, że inne cele ma on na oku, a więc i drogi nasze są rozbieżne. Stanowczo

nie myślimy bojkotować Wydziału, g d y b y jednak spróbował działać na szkodę Związku, wtedy może być pewny, że to tylko jemu zaszkodzi, a nas wzmacni więcej jeszcze.

Obowiązkiem Wydziału powinno być wszelkie usiłowania, zmierzające do poprawy stosunków w gospodarstwie leśnym ze wszelkich sił popierać, tak samo *wszystkie* biura leśne. Tymczasem Wydział stosuje zawsze dwie miary i ostentacyjnie dopomagając i popierając zupełnie prywatne biuro firmy „Cza-

plicki i Ziatkowski*),“ tem samem daje wyraźny dowód, że służy wyłącznie interesom *jednego* tylko przedsiębiorstwa. Że Wydział Leśny wogóle postępuje jednostronnie, o tem świadczy i ta okoliczność jeszcze, że każdemu innemu biuro leśnemu stara się na wszelkie możliwe sposoby szkodzić.

Wyłuszczyliśmy tutaj powody, które skłoniły mnie i liczne grono kolegów moich do zaprojektowania Związku Leśników, czy zaś ten projekt znajdzie aprobatę, lub też będzie potępiony, to na zmianę naszego dalszego postępowania bynajmniej żadnego nie wywrze wpływu.

Gustaw Buseck Busecki.

*) Firma ta ogłasza się wszędzie, jako „Syndykat Leśny“ którym ona jeszcze nie jest i być może nigdy nie będzie.



Na podchodne.

Słuch.

Jak bronić się od tego, ażeby zwierzyna nie posłyszała, że znajduję się na podchodnym? Używam jak najprostszego sposobu: oto staram się iść jak najciszej. Czasami jednak bywa tak, że trudno nie robić szelestu. W takich razach przeważna część myśliwych popełnia błąd, że właśnie posuwają się naprzód ukradkiem, zamiast iść zwyczajnie i nie zważać na nic. Kto nauczy się naśladować hałas, jaki wytwarza około siebie jeleni, ten zawsze wygrywa. Lepiej nieraz posuwać się naprzód bardzo głośno, aniżeli obawiać się każdego szmeru.

Są myśliwi, którzy lubią chodzić tylko dobrze oczyszczonymi ścieżkami, co do mnie jednak, to nienawidzę tego. Wszelkie zamiatanie ścieżek powinno się odbywać tylko wtedy, gdy w rewirze panuje cisza grobowa, inaczej bowiem wraz z zamiecionymi liśćmi wypędzimy również wszelką zwierzynę. Tam, gdzie odbywa się bekowisko, nie należy wogóle kręcić się z nadto, a przecież ten błąd popełnia przeważna część myśliwych.

Najlepiej jest wybrać się wieczorem lub rano na dominujący w rewirze punkt i próbować wabienia jeleni. Nie zawsze się to udaje, zdarza się jednak, że ta lub owa ciekawa sztuka podsunie się w pobliże, na co trzeba ogromnie uważać. Dwie pary takich rogów, zdobytych na bardzo ciekawych stworzeniach, zdobią dziś moje ściany. Czasami znów trzeba zachować się nadzwyczajnie cicho i dbać o to, ażeby nie być dostrzeżonym. Jeżeli po wabieniu jeleni nastaje nagle dłuższa cisza, to łatwo zdarzyć się może, że byk podsunie się w pobliże, a czasem również pojawi się łania. Za łanią przysunie się byk, jest on wszelako ostrożniejszy i kilka razy zdarzyło mi się tak, że nie mogłem strzelić, gdyż był zastłonięty drzewami.

Nigdzie może nie trzeba być tak ostrożnym na polowaniu, jak w Karpatach, tam bowiem często się zdarza, że zabijamy nie to stworzenie, którego rogi nas wyjątkowo nęca.

W tem miejscu pragnąłbym zwrócić uwagę, że doskonałym materiałem do wygrywania melodii przywabiających jelenie są wszelkie

tekturowe tubki, zwijane z opasek, w jakie owijane bywają gazety, mapy i t. p. Tubki te wydają z siebie nie tylko bardzo miły dźwięk, ale są lekkie i przy uderzeniu nie wywołują wielkiego hałasu.

Za najlepszy środek wyuczenia się głosów jelenich uważam ten, że siada się wieczorem przed domkiem myśliwskim i słucha aż odezwie się z oddali głos jeleni. Wtedy trzeba go możliwie najlepiej naśladować, a jeżeli już nauczymy się owego krótkiego, groźnego: „Aouu!” to wtedy możemy już spróbować również po ciemku nawoływać jelenia. Trzeba jednak pamiętać o tem, że jelenie wieczorem bywają bardzo podniecone, rano zaś najczęściej bywają z nadto leniwe i zachowują się cicho.

Jeżeli trzeba użyć sposobu nawoływania więcej oddalonych jeleni, to należy do tego przystąpić od razu śmiało i nie obawiać się niczego. Gdy tchórzliwie zaczniemy tony wydawać z gardła, to zwykle będą one fałszywe.

Na zakończenie uwag moich co do lekceważenia chciałbym tu jeszcze nadmienić, w jaki sposób w rewirze Klenowa na Węgrzech ubiłem największego w życiu jelenia kapitalnego, nierównego osiemnastaka.

Było to w r. 1904-ym prawie na początku bekowania. Marznąc siedziałem rano o 3 i 1/2 na okrągłym nagim szczycie, przylegającym tuż do prastarego lasu. Przedemną rozciągała się czarna masa grzbietów górskich Nastaru, pokrytych starym lasem bukowym. Ten płaszcz z koron drzew zakrywał mi zupełnie wszelkie wąwozy i czeluście, znajdujące się u podnóża wielkiej góry. Nie zaczęło jeszcze wcale świtać i cisza grobowa rozpościerała się po całej okolicy. Najłżejszego nawet nie uczuwałem wietrzyka. Czyżby jelenie i dziś jeszcze się nieodezwały? Wziąłem trąbkę wydającą dźwięki jelenie do ręki i puściłem okrzyk w głąb lasu. Żadnej odpowiedzi! Po pięciu minutach spróbowałem raz jeszcze, i wówczas z prawej strony ze szczytu zalesionego doszło mnie przytłumione mruczenie. Zadrzałem radośnie. A to dopiero musi być okazała sztuka! Odpowiedziałem natychmiast przekornym urywanym dźwiękiem. Wtem nagle w tej ciszy nocnej usłyszałem silny trzask i miałem wrażenie, że tam po drugiej stronie dwa jelenie wal-



Fig. 4. Kapitałny „Węgier“ w r. 1905-ym.

czą z sobą zajadle, postanowiłem tedy podejść bliżej, pomimo, że ze względu na ciemność było to niebezpiecznie. Udałem się jednak ku lasowi, ale odrazu doszedłem do stromej ściany wąwozu, który był pokryty odłamanymi gałęziami, powalonymi drzewami i t. p. Jakże tu przejść na drugą stronę w tej ciemności! Raz jeszcze spróbowałem wydać okrzyk, ale tym razem bez skutku.

Czy to jeleni, czy dzik, lub może nawet niedźwiedź? Ale znów ucichło wszystko, a tymczasem chciałem się koniecznie dowiedzieć, co się dzieje z moim jeleniem, więc raz jeszcze zadałem w tubkę. Znów żadnego rezultatu, lecz znów słyszę też jakiś ruch tam na dole. To odgłosy gałęzi. Tam do diabła! Jeleni pnie się na górę. Słyszę łamanie gałęzi i najwyraźniej jego kroki zbliżają się coraz więcej

ku mnie. Klękam i po cichutku przykładam fużę, mając na dziesięć kroków przed sobą rozplywającą się w półmroku ścianę z liści bukowych. Jeleni zbliża się regularnymi krokami, już tylko oddalony jest o 30 kroków, już tylko 20 — i nagle coś ciemnego wylania się z zieleni buków... błysło światełko, rozległ się huk strzału, i trzask cielska spadającego z góry. — A potem zaraz cisza grobowa. Ale po chwili w tej ciszy słyszę głębokie rżenie na dnie wąwozu. Nie wiem, co się ze mną wtedy stało, ale ogarnęło mnie takie uczucie, jak gdybym popełnił skrytobójstwo, długo też siedziałem na nagim szczycie góry, i dopiero gdy słońce weszło, zacząłem opuszczać się na dół. Rzeczywiście na dnie czeluści leżał wspinały okaz jelenia z kulą w głowie. Pomimo, że rogi tego jelenia nie są tak okazałe, jak marala, to przecież zajmuje on jedno z naczelných miejsc w moich zbiorach.

Przy tej sposobności muszę wspomnieć, że kardynalną zasadę mojego postępowania tworzy szukać jelenia, do którego wystrzeli-

łem dopiero po upływie dwóch godzin, zdarza się bowiem bardzo często, że jeleni już dogorywający zbiera w sobie ostatek sił i uchodzi jeszcze tak daleko, iż trudno go odnaleźć.

Wielka zachodzi różnica w tem, czy do zwierzyny, (wszystko jedno jeleni, koziorożec czy gemza) wystrzelimy przedtem, nim ona nas dojrzała, czy też potem. Jeżeli zwierzę nas nie dostrzegło, to możemy być pewni, iż trafione zrobi niewiele podskoków; zatrzyma się, albo położy w pobliżu. Tłomaczą sobie to zjawisko tem, że rany swojej nie przypisuje zwierzę żadnej żywej istocie, któraby je miała przesładować. Jeżeli zaś zwierzę dostrzegło myśliwego, to wyteży wszystkie siły i ucieka tak długo, dopóki wyczerpane i pozbawione krwi nie runie na ziemię. Najlepiej

jest strzelić raz tylko, ale celnie, drugi bowiem strzał, zwłaszcza gdy ugodzi powierzchownie, tem więcej nakłoni ranną sztukę do uciekania.

Zdarzyło mi się, gdy polowałem na podchodne w gęstym lesie bukowym pewnego cichego poranku, gdy właśnie wschodziło słońce, że natrafiłem na jelenia i strzeliłem do niego, jak mi się zdawało bardzo celnie. Nie ruszyłem się jednak z miejsca i cicho siedziałem na pieńku, oczekując, co z tego wyniknie. Jeleni zrobił jakieś cztery, czy pięć podskoków, poczem szedł wolno i zaszył się w najbliższym gąszczu. Cisza zalegała wokoło, a trwała ona całe trzy kwadransy, poczem usłyszałem szelest gałęzi. I znów pół godziny, gdy rozległo się sapanie i kaszel. Jeszcze na pół godziny

uzbroiłem się w cierpliwość i dopiero wtedy wolno zacząłem się posuwać naprzód. Nie potrzebowałem daleko chodzić, gdy ujrzałem ładną koronę. Jak się okazało, był to szesnastak, ale niestety z brakiem odrostków. Gdybym wcześniej był się wybrał za tym jeleniem, to, dokąd by on dobiegł w tym dzikim lesie, pozbawionym dróg

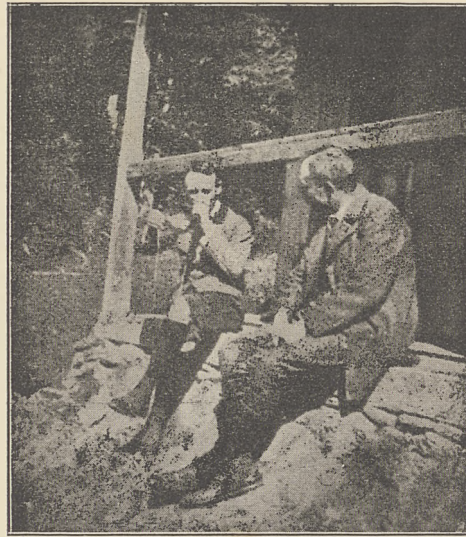


Fig. 5. Ćwiczenie z wabikiem na jelenie.



Fig. 6. Rezultat bekowania w r. 1904 w Karpatach.

a nawet ścieżek. Raz w życiu bogini Diana podarowała mi pięknego jelenia bez żadnej pod tym względem mojej własnej zasługi. Było to w Tian-Czan podczas bekowania. Późnym już wieczorem wypaliłem do ryczącego jelenia, a że było już dosyć ciemno, więc nie mogłem dobrze wycelować. Pomimo to miałem wrażenie, że musiał otrzymać kulę. Poszedłem na spoczynek i bardzo wczesnym rankiem zabrałem pięciu mongołów, ażeby z nimi dokonać poszukiwań. Śnieg pokrył miejscami ziemię, a na tym śniegu widoczne były krzyżujące się w różne strony ślady przejścia marali, ale farby nigdzie nie mogliśmy odszukać. Po pięciogodzinnych poszukiwaniach naprzóżno, gwizdnąłem na moich mongołów i wielce zasmuceni udaliśmy się wszyscy ku domowi. Za-

w dość prześwieconym lesie orzechowym. Po półgodzinnym oczekiwaniu (byłem wówczas jeszcze niecierpliwy i lekkomyślny) udałem się za nim i ujrzałem mojego jelenia bardzo chorego, siedzącego tyłem do mnie. Niewiele już mu brakowało do śmierci, głowa zwiśla mu na dół, jak człowiekowi, który zasnął w pozycji siedzącej. I tu okazuje się moja bajeczna lekkomyślność! Wziąwszy kordelas w rękę zbliżyłem się do jelenia, który je s z c z e s i e d z i a ł, stanąłem tuż przy nim, a właściwie za nim, i nie byłem pewny co uczynić dalej. Kiedy się nachyliłem, ażeby go ugodzić kordelasem, zauważył mnie ten prawie nieprzytomny już jeleń, podskoczył w górę, potrafił mnie tak, że o mało nie padłem na wznak, i popędził jak szalony z góry. Na szczęście trzymałem jeszcze



Fig. 7. Rewir koziorożców w Tian-Czanie.

ledwie jednak uszliśmy z pół mili w poprzek lasu świerkowego, gdy nagle ujrzałem przed sobą leżącego na ziemi martwego czteronastaka. Kula ugrzęzła w nerkach. Rogi jego można nazwać nie już kapitalnymi, ale kolosalnymi.

Opowiem tu jeszcze jedną przygodę, która mi się przytrafiła w pierwszych czasach moich polowań na podchodne, a z góry zaznaczę, że do dnia dzisiejszego każdy niepotrzebny strzał w rewirze wywołuje we mnie uczucie zgrozy, a czy się wybiorę na jelenia, łosia lub dziką, zawsze zabieram z sobą oprócz fuzji, również kordelas. Dzięki wyćwiczeniu doprowadziłem do takiej wprawy, że jeszcze bardzo ruchliwe, ale zranione zwierze natychmiast dobijam. Pierwszy cios zadaję głęboko pod łopatkę pomiędzy żebra, a drugim szybkim ruchem kieruję cios ku skokom. Jeżeli wtedy od razu nie trafiłem w serce, to ostrze kordelasu przetnie je napewno.

Otóż strzeliłem do dwunastaka i jak mi się zdaje, naznaczyłem go dobrze. Zniknął on

fuzję w lewej ręce, rzuciłem tedy kordelas i wystrzeliłem za nim, gdy już zniknął w krzakach. Pomimo to trafiłem go w kregi. Gdyby nie ten drugi strzał, to nie przysięgam wcale, czy odszukałbym w tym lesie dziewiczym, pełnym podszycia, konające zwierzę, jak również nie jestem pewny, czy gdyby ten jeleń umierający zdobył się na większą energię, nie roztrawiałby mnie na śmierć.

Najlepszym „słuchaczem“ w lesie bezwarunkowo jest łoś. Potrafi on bardzo długo stać zupełnie cicho na jednym miejscu z pochyloną na dół głową i nasłuchiwać, że zaś każdy najdrobniejszy szmer umie odpowiednio ocenić, przeto jako mądre stworzenie, wyprowadza z tego odpowiednio wnioski. Starego i silnego łosia nawet z psem doskonałym trudno jest podejść zblizka, ale dlatego też taki sposób polowania jest jedynie piękny, uważam zaś, że urządzanie naganki nie jest zabawą prawdziwie myśliwską i na taką zabawę łosiów jest szkoda.

Prawie równie doskonały słuch posiada

dzik, bardzo też ciekawy widok przedstawia, gdy zwierzę to wyciągnawszy ryj, stoi jak słup na miejscu, i długo, bardzo długo wsłuchuje się w szmery lasu. Niechaj mówi kto, co chce, a podług mnie dzik dodaje lasom ogromnie dużo uroku i powinienby być oszczędzany więcej u nas.

O ile zwierzęta leśne odznaczają się wogóle wybornym słuchem, o tyle nie można tego powiedzieć o zwierzętach górskich, jakimi są: koziorożec, maral i gemza. Zdolność tych stworzeń do posłyszania hałasów, a szczególnie do ocenienia dźwięków jest dosyć słaba, a wskazuje na to mała bardzo budowa uszu. Wybierając się na

podchodne marale, nie trzeba się zupełnie obawiać wyławiania hałasu naturalnego. Kamienie tak często się usuwają z góry, że marale przyzwyczajone są do tego hałasu.

Zwierzęta górskie nie mają nawet zdolności do ocenienia z ką d strzał pochodzących. Pewnego dnia np. z wielkim trudem i po przezwyciężeniu nadzwyczajnych przeszkód podszedłem stado złożone z 16-tu kapitalnych koziorożców. Niestety u koziorożców jest to zwyczajem, że wchodzą w głąb stada tak, iż są zasłonięte przez młodsze sztuki. Gemzy można podejść od każdej strony i wybrać sobie odpowiednią sztukę, co u koziorożców jest niemożliwe. Nie mogą już podejść

bliżej strzeliłem do siedzących spokojnie koziorożców i — chybiłem. Rzecz naturalna, że zerwały się w popłochu i zniknęły mi z oczu, trwało to jednak jedną chwilę, gdyż po pewnym czasie ukazały się znów idąc wprost ku mnie. Dziwny to rys wszelkiej

zwierzyny górskiej, że o ile ona wyborny ma wzrok, o tyle podczas popłochu zupełnie nic nie widzi przed sobą. Jeżeli zatem całe stado ucieka, to można zupełnie spokojnie się poruszać, ale gdy jedna sztuka ujrzy myśliwego,

to wówczas trzeba się zamienić w słup i stać cierpliwie. W tym wypadku pobiegłem trochę na ukos i całe stado ogromnych koziorożców

przebiegło około mnie na 200 kroków i wtedy mogłem dać dwa strzały celne, trzeci zaś strzał, jakkolwiek nie był chybiony, to przecież tylko pokaleczył zwierzę, które uciekło, a poszukiwanie utrudnia jeszcze często niemożność odróżniania żółtawo szarych zwierząt od tak samo zafarbowanych

kamieni. Prześlicznie wygląda taki potężny koziorożec, gdy stanąwszy na zrzebie skały, z wysoko podniesioną głową spogląda na dół; czasami przez kilka godzin może nie zmienić tej pozycji. Jeżeli jednak znajdujemy się w dolinie o jakie 2,000 m., to wówczas nie trzeba się również tak samo długo ruszać z miejsca, bo gdy dostrzeże, to znika w jednej chwili. Pew-



Fig. 8. Na brzegu pustyni lodowej poza Argali's.



Fig. 9. Dubieła na koziorożce.

nego razu zdarzyło mi się zupełnie nagle i niespodziewanie natrafić na koziorożca o 20 kroków oddalonego. Stałem jak wryty, on zaś spostrzegł mnie i również nie ruszył się z miejsca. Przez całe 10 minut wytrzymałem w tej pozycji, w końcu jednak chwyciłem za strzelbę i — było już zapóźno. Zacząłem biedz za nim, ale to nie przydało się na nic, tylko zdaleka ujrzałem całe stado uciekające. Gdybym był pół minuty zyskał na czasie, to mógłbym ubić śliczny okaz koziorożca.

Podchodzenie koziorożców jest nadzwyczaj, jak powiedziałem, uciążliwe, łatwym jednak można je nazwać w porównaniu z podchodzeniem olbrzymich baranów leśnych, jakimi są w Azji centralnej kozły Argali. Wprost pojęcia mieć nie można o tem, jakie to ostrożne i nadzwyczaj uważne zwierzęta. Argali na ogół obierają sobie wyższe punkty górskie, aniżeli koziorożce i zazwyczaj trzymają się krawędzi lodowców, oraz pozbawionych wegetacji pustyni śnieżnych. Trzeba mieć bardzo silny organizm, ażeby można dłuższy czas przebyć na wysokości 4,500 — 5,000 m. i udawać się na podchodne nadzwyczaj nciążliwe. Wtedy nie jest wcale rzeczą łatwą trzymać tak fuzję, ażeby ręka nie drgała. Każde najmniejsze poruszenie wywołuje natężoną pracę serca i płuc, a wstrzymać oddech podczas strzału staje się prawie niepodobieństwem. Stada Argali lokują się zawsze w podkowę i na spoczynek wyszukują sobie odległe doliny, a bardzo często siedzą przy wylotach lodowców zagrzebane w śniegu i bokami wygrzewające się na słońcu. Zdaleka wyglądają jak czarne punkty na białym tle śniegu. Jakże często widywałem te bardzo mądre zwierzęta, gdy tak siedziały w śniegu, ale nadziei podejść je nie miałem żadnej dlatego, że w takich miejscach zawsze wiatr pędzi od dołu i przy blasku słonecznym z góry widać znakomicie wszystko. Z drugiej strony po takich ścianach lodowych prawie absolutnie nie można posuwać się naprzód. Niemniej trudno polować na Argali z naganką, po pierwsze bowiem mongołowie przy pięciu się w górę są bardzo tchórzliwi, a powtórę ile razy dojrzy się kozły, to można być pewnym, iż one również nas dojrzały, a wtedy zaraz udadzą się ku przeciwnej stronie. Jedyne matki na lato opuszczają się niżej i wtedy już daleko łatwiej podejść je na strzał. Właściwością Argali jest i to jeszcze, że pożywiają się nadzwyczaj prędko i łapczywie, robią to przeważnie w nocy i bardzo wczesnym rankiem udają się na spoczynek. Koziorożce widywałem jedzące jeszcze o 10-tej rano, Argali natomiast prawie zaraz o świcie udają się w bezpieczne miejsca na spoczynek, z kąd nie ruszają się przez cały dzień aż do zmroku. Ostrożność ta pochodzi zapewne ztąd, że gdzie jest dużo argali, tam również znajdują się wilki w wielkiej ilości.

Jakkolwiek powiodło mi się kilka razy z powodzeniem podejść argali, a nawet mam bardzo okazałe rogi w gabinecie swoim, to przecież jedno tylko zachowałem w pamięci

prawdziwie piękne podchodne. Wiedziałem o trzech wspaniałych kozłach, które widywałem często jak gdyby trzy czarne punkty na lodowcach. Było to w górnej części rzeki Sary-Diass. Na brzegu północnym tej rzeki lodowej znajdowało się kilka odkrytych dolin, których ściany składały się ze skalistych, stromych, nagich grzbietów; doliny te ginęły w ogromnym białym morzu lodowo śnieżnym góry Chan-tengri (6,800 m. wysokości). Na zboczu od strony południowej rosła bardzo uboga trawka, tak mała, że trudno ją było zdaleka dostrzedz. Tam oto w tej wspaniałej bezludnej pustyni, na którą składały się tylko lód, śnieg i kamienie, żyły owe trzy stare kozły, jak trzech braci z bajki. Wczoraj podczas zupełnie beznadziejnego podchodzenia ich poruszyłem te trzy sztuki, przeszły też one do sąsiedniej doliny, na którą rozścielał się wspaniały widok z tego miejsca, w którym się znajdowałem. Nawiasem muszę tu nadmienić, że wysokość i objętość argali równa się prawie wysokości i objętości dobrze jelenia.

Dziś miałem zamiar posuwając się brzegiem lodowca dojść do tej doliny, przynajmniej tak daleko, ażeby można być bezpiecznym, że mnie nie poczują. Następnie chciałem wspiąć się po skale w górę, jeszcze przybliżyć się i czekać, czy czasami jednak nie nawiną się pod strzał. Wyrachowanie miałem dobre, ale nie wszystko mogłem w niem uwzględnić. Już samo pięćcie się po ścianie lodowej jest wysiłkiem nadludzkim, pomimo też, że wytrenowany jestem doskonale w wycieczkach górskich, prawie tego nie mogłem dopiąć. Powietrze jest tu tak rzadkie, że krew nie chce krążyć w żyłach i człowieka opanowuje straszliwa senność. Kilka razy mdlałem poprostu i padałem na ziemię, i tylko nadzieja ujżenia tych trzech bajecznych kozłów podtrzymywała jeszcze gasnące siły moje. Nareszcie doszedłem na szczyt, ale każdy nerw był u mnie potargany i drżenie ogarnęło wszystkie członki. Przed sobą miałem jak gdyby grzbiet olbrzymiej jaszczurki, która zwężając się coraz więcej biegła ku białemu morzu lodowo śnieżnemu. Nad tem morzem błyszczało słońce, a żaden najmniejszy wietrzyk nawet nie powiał, najmniejszy również dźwięk nie przerywał ciszy majestatycznej. Ogarnęło mnie jakieś wielkie uczucie trwogi w tem pustkowiu bezludnym i mimowoli przyszła mi myśl do głowy: co by też się stało, gdyby paraliż tknął moje serce, kołaczące się w piersiach jak koń rozbrykany? Zginałbym tutaj i nawet o mojej śmierci niktby nie był powiadomiony.

Jak wybawienie z tej przykłej zadumy postłyszałem szum skrzydeł kruka górskiego, który również musiał być jakimś sierotą zagnanym w te strony, a który nad moją głową zataczał rozmaite kręgi, nawołując głośno: „gorg, gorg”. Nigdy nie widziałem takich zrzecznych lotów. Jak strzała spadł z góry, ażeby potem rozwiniawszy skrzydła znów wzlecieć wysoko. Miałem wrażenie, że ten kruk drwi sobie ze mnie, ale w końcu zdruzdziło mu się to widocz-

nie, gdyż usiadł na pobliskiej skale, zwiesił głowę na dół i nie ruszył się więcej z miejsca. Po chwili taka straszna ogarnęła mnie senność, że nie mogłem już jej opanować i zasnąłem twardo. Jak długo spałem i dlaczego nie zmarłem, tego nie wiem do tej pory a kiedy się obudziłem nareszcie, oczy moje oślepiła białość, do której długo musiałem się przyzwyczajać. I o dziwo! rozejrzawszy się nareszcie, spostrzegłem jednego z trzech kozłów z bajki, który przybrawszy królewską postawę, stał o 300 m. odemnie i rozglądał się bacznie. Wspaniale wyglądał w blasku słonecznym na białej pościeli śnieżnej. Zwęszył mnie odrazu i zwolna zaczął się opuszczać na dół, aż wreszcie zniknął mi zupełnie z oczu. Ale za chwilę ukazał się drugi, a potem trzeci kozioł, ale strzelać nie mogłem, i tylko po prawej stronie lodowca ujrzałem je siedzące w ulubionym przez siebie miejscu. Jeżeli kto nie zabije argala w czasie bekowania, to z pewnością nie powiedzie mu się zdobyć jako trofeum wspaniałe rogi tego stworzenia.

W kilka dni później ujrzałem stado argali złożone z 12 sztuk. Kozły te popełniły tę lekkomyślność, że usiadły w niewielkim oddaleniu na górnym brzegu kotliny. Udało mi się znaleźć się ponad nimi, ale znów natrafiłem na nieprzewycięzoną trudność. Z górnego brzegu skały oderwał się mały lodowiec i zakrył mi widok na kozły, musiałem zjechać na dół i wtedy dopiero ujrzałem moje kozły w oddaleniu 30 kroków. Ale jak tu strzelić, gdy jedną ręką musiałem się przytrzymywać skały. W końcu zarzykowałem jednak, wypaliłem jedną ręką, ale naturalnie chybiłem. Wystrzeliłem po raz drugi i zdawało mi się, że ciężko zraniłem kozła, niestety jednak nawet mowy być nie mogło o jego odszukaniu.

A teraz jeszcze przygoda z wilkami. Było to w górach Muzart w Azji środkowej, gdy wybrałem się w pustej dolinie ze starym kirgizem na marale podczas bekowania. Stary to już był kirgiz nazwiskiem Toelengut-Bay, jedyny człowiek, który oświadczył gotowość towarzyszenia mi w dalekich przechadzkach, a który na długiej rurze drewnianej umiał wspaniale naśladować głosy maralów. Ani ja, ani żaden inny kirgiz nie potrafił wydobyć wysokie tony „Uii“ ażeby potem odrazu głębokim basem wydobyć z siebie „Uuuu“.

Otóż ujrzelśmy przed sobą na jakie 500 m. pasącego się starego byka, wobec czego zostawiłem swojego Bay'a w tyle, sam zaś pró-

bowiałem podejść marala z boku. I wówczas stary kirgiz popełnił ogromne głupstwo, zaczął bowiem nawoływać. Byk naturalnie rzucił się naprzód i dostrzegł mnie siedzącego na odkrytym zupełnie miejscu. Z wściekłością przyglądałem się mu bezsilny zupełnie. Maral zniknął za kilku susami, a wówczas i ja posunąłem się naprzód i doszedłem do tego miejsca, gdzie maral pożywiał się poprzednio. Zmrok już zapadał w najlepsze, gdy poruszyło się coś jasno szarego w krzewach jałowcu i za chwilę wyszedł z nich na 80 kroków odemnie wspaniały okaz wilka. Za tym wilkiem podążał drugi w kierunku ku mnie, z tą tylko różnicą, że znajdowałem się niżej, one zaś szły wyżej. Mój kapitałny maral tak mi utkwiał w głowie, że prawie nie zwróciłem uwagi na wilki i ostrożnie posuwałem się naprzód, a kroki moje na zeszcłej trawie wywoływały trochę szmeru. Wilki posłyszały ten szmer i przystanęły, ale widocznie nie zdawały sobie sprawy z tego, co się ku nim zbliża. Do tego stopnia były nieostrożne, że pozwoliły mi się zupełnie jawnie przybliżyć na 20 kroków. Potem zaszły się w gąszcz i znikły. Zachowanie tych wilków w każdym razie było tak dziwne, że nie umiałem sobie tego wytłómaczyć. Zdaje się, że na ową noc dały sobie wilki gromadne rendez-vous, gdyż pomiędzy 11-tą a 1-szą rozległo się takie wycie, że nasze biedne, zmęczone koniki chciały się zerwać ze sznurów, którymi były przywiązane do drzewa. Co właściwie przez to wycie chcą wilki wyrazić, to pozostaje dla mnie zagadką, nie znam jednak nic bardziej denerwującego, jak taki hałas w cichą noc księżycową. Bać się jednak nie potrzeba, gdyż na mocy moich doświadczeń twierdzę, że wilk jednak uczuwa respekt przed człowiekiem.

Nie zapomnę też nigdy takiego momentu. Siedziałem rano około 11-ej przy ognisku i piekłem sobie na śniadanie kawał pieczeni koziorożca, którego mięso zatknęliśmy na cienki kijek. Nagle spostrzegam na drugiej stronie strumienia, najdalej o 15 kroków wilczyce, otoczoną pięciu czy sześciu przesłicznymi, małymi, jak gdyby w wełnę przyodzianymi szczeniętami. Całe to towarzystwo przyglądało mi się przez chwilę z wielką ciekawością, a potem zniknęło za drzewami. Ponieważ tutaj rozbiłem namioty na czas dłuższy, więc częściej widziałem jeszcze tę wilczą rodzinę.

A teraz zakończmy to opowiadanie, bo gdy myśliwy się rozgada, to mógłby wypełnić swojemi wspomnieniami tysiące stron. Z. W.



SIEW i SADZENIE SOSNY

NA PIASKACH W MAŁOROSJI.

(Z notatek nadleśnego rządowego.)

Dwanaście lat temu przeczytałem w jakimś piśmie o czynionych we Francji posiewach na miejsca stałe. Nie pamiętam czy była mowa o niewielkich próbnym posiewach, czy też o zalesieniu dużych przestrzeni, lecz sposób ten bardzo mnie zainteresował, tem więcej, że przy sadzeniu lasu doszedłem do takiego punktu, gdzie zaczynał się lotny piasek, który zmusił mnie głębiej zastanowić się nad pytaniem: co począć dalej?

Trudno było wtenczas zaprowadzać lasy na piaskach. Żelazne przyrządy do sadzenia nie znane jeszcze były u nas, i głównym narzędziem do sadzenia sosny był drewniany kołek. A ile to trudów kosztowało wetknąć go w ziemię i dobrze obrobić nim sadzonkę, o tem świadczą odciski na naszych rękach.

Otrzymać sadzonki na miejscu było nie możliwe, trzeba było posiadać swoje szkółki, które przy drożynie sprzedawanych nasion, przy małej znajomości przedmiotu, przy ograniczonych środkach i nieprzyjaznych często warunkach klimatycznych dawały smutne rezultaty. W mojej szkółce pewnego suchego lata sadzonki pomimo polewania wyschły, a pozostałe po tej suszy, na wiosnę następnego roku także okazały się martwymi, jakgdyby wymarły, i tak dwa lata pod rząd sadzonki były po części zniweczone, po części pokaleczone ulewą gradową.

W miejscowym leśnictwie rządowym, bywało, że nie można się było doprosić nawet resztek do sadzenia.

Potem pozwolono kupować w niektórych leśnictwach nasiona i sadzonki. Nasiona te były dobre i niedrogie, sadzonki takie były niezłe, lecz nie wytrzymały przesyłki. Sadzonki te mogły zadowolnić tylko najbliższych leśników, którzy mogli brać materiał na podwoły, przy wysyłaniu ich zaś koleją na duże odległości, sadzonki marniały w drodze i tylko nieznaczna ilość dochodziła na miejsce w stanie godnym sadzenia, a to dlatego, że ciasno zapakowane sadzonki z wilgotnymi korzeniami gnily, środkowe sadzonki pokrywały się białą pleśnią, a pozostawały tylko dobre te, które znajdowały się bliżej zewnętrznych części; jeżeli zaś wiązanki były związane słabiej, to w dalszej drodze pod działaniem suchych wiosennych wiatrów, sadzonki znajdujące się bliżej części zewnętrznej, więdły i żądnymi środkami nie można ich było ożywić.

Przy sadzeniu takiego materiału, w tym lub innym wypadku przyjmowała się tylko nieznaczna część, tak, że koszta przyjętych sadzonek były bardzo wysokie.

W takim to czasie dowiedziałem się o francuskim sposobie posiewu sosny prosto na miej-

scą, a ponieważ nasiona można już było otrzymać dobre i w dowolnej ilości, więc przystąpiłem, nie tracąc czasu, do próbnego posiewu, spodziewając się uniknąć na przyszłość dużych kosztów na sadzonki i zawodów przy zakładaniu swojej szkółki.

Dla próby był przeznaczony ze wszystkich stron odkryty kawałek ziemi, w rozmiarze jednej dziesięciny, przedstawiający w mniejszej swojej części równą przestrzeń, pozostała zaś część składała się z lotnego piasku, pagórków małej i średniej wielkości i wzmocnionej dwa lata przedtem posadzeniem wierzby czerwonej. Posiew był robiony następującym sposobem. W miejscach wzmocnionych szelugą, po środku międzyrzędów, robotnik wykopywał łopatą na głębokość do pięciu werszków miejsca dla posiewu nasion sosny, w rozmiarze każde w przybliżeniu w 12 werszków długości i 6 werszków szerokości, na odległości 12 werszków jedno od drugiego. Drugi robotnik, idąc śladem za pierwszym, robił na wykopanych miejscach w kierunku rzędów bruzdki i siał w nie nasiona sosny, które i pokrywał piaskiem. Na równych miejscach, gdzie nie było szelugi, były wykopane po sznurze na odległości dwóch arszynów rząd od rzędu i 12 werszków jedno od drugiego. W miejscach, gdzie była wierzba czerwona, nie weszło nic prawie, gdyż nasiona okazały się głęboko zasypane piaskiem, naniesionym przez wiatr z sąsiedniej drogi, a jeżeli się gdzie pojawiały, to przy pierwszym silnym wietrze pokrywały się piaskiem i ginęły. Wzejścia były lepsze na równych piaskach, zwłaszcza ze strony przeciwległej więcej częstym wiatrom, ze strony zaś wiatru nasiona często były wyrwane i wschodziły w bardzo małej ilości. Na równiejszych miejscach wschody były porządne, lecz przy rozrychaniu miejsc dla posiewu, w miejscach więcej wysokich nasiona po części były zniesione przez wiatr, a na niższych miejscach piasek z drogi pokrywał je i szkodził posiewom. Chociaż w mniejszym stopniu, było tutaj i drugie zło—zielska dążyły do zawładnięcia miejsc sadzonek, a te były jeszcze za małe i za słabe, ażeby opierać się tym atakom. Główną przyczyną niepomyślności takich posiewów jest, nawet przy dużych wydatkach, oprócz zaniesienia piaskiem, niemożliwość stosowania nieodzownego pielęgnowania sadzonek, jaki się stosuje w szkółkach. Nie zważając na to, że wschody na twardym piasku były daleko lepsze, do lata wiele z nich zmarniało z różnych pewnych i niepewnych przyczyn i do następnego roku, na całej obsianej przestrzeni pozostało wszystkiego 173 krzaczków sosny. Na następną wiosnę po posiewie na połowie przestrzeni sozna znowu była zasiana na tych

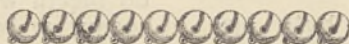
miejskach, gdzie wschody zmarniały, lecz to mało pomogło. Na trzeci rok po zasiewie, na równej przestrzeni były zrobione pługiem bruzdy z nasypem piasku w stronę południową i posadzona została sosna zwykłym porządkiem, a przez kilka lat tymże sposobem były zasadzone międzyrzędy (miedze) i w zasiewach wierzby czerwonej na pagórkach i na piaskach.

Wszystkie moje obawy przed sadzeniem na piaskach okazały się bezzasadnymi, sadzonki przyjęły się prawie bez wyjątku i rosły dobrze. Wierzba czerwona, która przyniosła korzyść przez wzmocnienie piasku i zaciemnienie, teraz szkodzi sosnom, obrywając przy wietrze gałązki, wskutek czego należy rok rocznie ją wyrąbywać. Bardzo być może, że w miejscach zabezpieczonych rezultaty byłyby lepsze, ale przecież wzmocniać po większej części trzeba piaski, wystawione na wszystkie wiatry.

Posiew podług tego sposobu wypada daleko drożej od sadzenia gotowych sadzonek, po pierwsze, ze względu na droższe ręczne wykopywanie miejsc w porównaniu do robienia bruzd przy pomocy pługa, a po drugie dlatego, że wychodzi daleko więcej nasion.

Bardzo dobre rezultaty otrzymuje się przy sadzeniu sosny po kartoflach, które się sadi pod rząd dwa razy. W tym roku, w pewnej części należących do mnie ziem, zasadziłem sosną 12 dzies. 1200 sążni. Kosztowało mnie zasadzenie: 62¹/₂ męzkich dni roboczych po 40 kop. za dzień t. j. 25 rubli, 62¹/₂ żeńskich po 35 kop. za dzień, = 21 rubli 88 kop. 7 dni człowiekowi noszącemu sadzonki po 30 kop. dziennie = 2 ruble 10 kop. t. j. razem wydałem 48 rubli 98 kop., czyli 3 ruble 92 kop. na dziesięcinę. Obecnie dzięki pomocy w sprawie urządzenia gospodarstw leśnych, jaką okazują taksatorzy, prowadzący próbę nad wzmocnianiem piasków, wielu właścicieli u nas zasada sosną piaskowe grunta i, jeżeli im się uda zniszczyć głownego w obecnym czasie wroga — trzypolówkę, to w krótkim czasie ogromne przestrzenie piasków będą obrócone na lasy. W bieżącym roku w naszym powiecie zalesiono więcej, niż sto dziesięcin piasków, z których większa część była uprawiana jako trzypolówka.

K. C.



Podśluchane.

.....Zaszumiał bór.

A wszystkie lasy podniosły wtór,
I wszystkie drzewa w pas się schylały,
Tak się straszemu dębu kłaniały.

A dąb se dumny i pyszny stał,
I do poddanych pytania siał:
„Coś ty za jedna, jak zowiesz się,
Na coś stworzona powiedz no mnie?”

„Jam to jest sosna mój jasny panie,
Skrzypeczki robią ze mnie na granie,
Robią obórkę, ze mnie i chata,
Taka jest korzyść ze mnie dla świata”...

„A masz ty herb, błękitną krew?!”
Zapytał dąb zmarszczywszy brew.
„Jeżeli nie masz, nie stój wraz zemną:
Niechaj kto inny stanie przedemną”.

Stanała brzoza, cicha spokojna,
Drżąca z obawy, cała pokorna,
„Jam to jest brzoza, mój światły panie,
Co robią ze mnie wozy i sanie”...

„I ty se odejdz” — rzekł dąb jej dumnie,
Nie możesz stać tu przy mnie tak szumnie:
Niechaj kto inny składa dowody
Jakie ma herby i rodowody”.

„Jam to jest jodła mój panie wielki
I będą ze mnie deski i belki;
Najwyższa wierchem nad wszystkie szczyty
Takie Ci składam swoje zaszczyty”.

„Prawda, żeś wzrostem może wspaniała
Lecz urodzeniem dla mnie za mała,
Więc odejdz sobie, nie słoń widoku,
Nie możesz zostać przy moim boku”.

Wtem podszedł jesion piękny, wspaniały,
Dumnie pokazał dębu konary:

„Jam twój towarzysz ozdób salonów
Herbu „Szlachetny”, jesion z jesionów!”

— „Przybliż się do mnie — rzekł dąb radośnie,
Niech dąb z jesionem pospołu rośnie,
Będziem panować na wszystkie lasy
Niech nam hołdują po wszystkie gząsy”.

I tak panują dumne szczęśliwe,
Lecz są niestety... często murszywe!...

W. Chojnacki.



Postrach chłopski.

II.

Nic się nie zmieniło. *), Styrya stoi zawsze jeszcze pod znakiem lwa. Prawie codziennie przychodzą uwiadomienia do centrali łowieckiej, że tu lub tam widziano wielkie drapieżne zwierzę, które napadło wołu lub owcę i pożar-

z gatunku kotów, uciekło z menażery i przelewa krew w Alpach Styryjskich. Około 500 zwierząt domowych padło ich ofiarą, ilość zaś zwierzyny jest bez wątpienia o wiele większa.

W obfitym zwykle w zwierzynę obwodzie Steinz urządzono 13 października naganki — smutnym ich wynikiem były — 2 zające! Dra-



Polowanie w Czerwonym Dworze hrabiego Benedykta Tyszkiewicza: 1. Polowanie w Bażantarni.

ło je całe. Wzburzenie górali wzmagają się z każdym dniem i w końcu nie odważy się nikt na zagrożone terytorium.

Czem już nie było owo krwiożercze zwierzę? Przez długi czas był nim ryś, potem srebrny lew (puma) potem stado wilków lub lichen, lecz nagle przekonano się, że to były tylko — psy! Zastrzelono ich kilka, lecz postrach chłopski trwał dalej. Psy zamienione później znów na lwa, niedawno zaś twierdził ktoś, że to byli cyganie.

Faktem będzie pewnie to, że kilka zwierząt drapieżnych, częścią z gatunku psów, częścią

pieżne zwierzęta polowały tam poprzednio, były one w rzeczywistości „postrachem strzelców“.

Znawcy donieśli, że chodzi tu istotnie o wielkie drapieżne zwierzę z gatunku kotów, prawdopodobnie o lwa. Badano już nieraz tropy dzikich zwierząt, są one z powodu ciężkości zwierząt zwykle bardzo wyraźne. Ślady takie rysowano, odlewano w gipsie lub wycinano razem z ziemią. I wykazały się dwie charakterystyczne grupy tropów: na jednych można było widzieć pazury, których na drugich nie było. Ślady wąskiego kształtu z ciasno ustawionymi palcami i o wyraźnych pazurach, należą do zwierząt z gatunku psów. Pazury wbijają się przy chodzeniu silniej w ziemię.

*) Patrz artykuł w № 23 „Gazety Leśnej i Myśliwskiej.“

Tropy kotów natomiast wskazują szeroką, ciężką wypukłość, rozszerzającą się przy chodach. Dzikie zwierzęta bowiem z gatunku koddzeni na stronę. Lecz tu brak zupełnie pazurów, n. p. lwy, tygrysy, lamparty i t. p. wciągają, chodząc, pazury i wyciągają je tylko wtedy, gdy szukają oparcia, lub gdy chcą pochwycić zdobycz. Widać to już, jak kot domowy rzuca się na mysz.

Dyrektor cesarskiej menażeryi w Schönbrunnie przeprowadził rozmaite drapieżne zwierzęta po papierze grafitowym i po ziemi gliniastej, chcąc otrzymać zupełnie dokładne odciski nóg. Porównywając te właśnie odciski z tropami znalezionymi na Stubalpie, przekonano się, że tropy z Stubalpu zgadzają się z odciskami nóg lwicy. Badano też jeszcze rozmaite inne tropy w Schönbrunnie, i na ślady małego kształtu powiedzieli wszyscy dozorcy dzikich zwierząt:

„To są tropy wilka!“

Inne jeszcze rozwiązanie zawierała garść sierści; wiadomo, że tylko drapieżne koty pożerają zdobycz ze skórą i sierścią, podczas kiedy wilki skóry nie ruszają. Chodziło tu zatem o dzikie

zwierzę z gatunku kota. O pochodzeniu zwierząt tych powstają coraz to inne przypuszczenia. Lew mógł być tylko uciec z menażeryi, wilki natomiast — tak twierdzili rozmaici myśliwi — mogły być tu przygnane zaburzeniem wojennym z Bałkanu, i tym sposobem dostały się do spokojnej Austrii. (??Red.).

Inne wyjaśnienie jest prawdopodobniejsze. Pewien rzeźbiarz w Gracu posiadał tej wiosny 9 młodych wilków, które mu dawniejszy jego pomocnik przysłał z Rumunii. Ustawił przed swoją pracownią klatkę z wilkami, a przechodnie bawili się widokiem młodych, wesołych zwierząt. I wnet znaleźli się kupcy; najpierw kilku studentów, którzy posłali kilka wilczków rodzicom do Karyntyi i Krainy, resztę kupili lubownicy zwierząt w Styryi. Później dowiedział się rzeźbiarz, że cztery wilki uciekły i że jednego tylko z nich schwytano. Jest więc bardzo możliwe, że wyrosłe tymczasem trzy wilki włóczą się na Stubalpie i są tam postrachem wieśniaków.

Bardzo zajmujące jest orzeczenie Hagenbecka o niebezpieczeństwie, grożącym z strony dzikich zwierząt, gdy im się uda uciec z klatki. Syn zmarłego niedawno a sławnego handlarza zwierząt zapewniał, że dzikie zwierzę-

ta, które uciekły z klatki, boją się z początku ludzi. Gdy przed pięciu laty uciekł lew z parku Luna, przebiegł cały park, w którym znajdowały się tysiące ludzi i ukrył się bojaźliwie w kacie, gdzie go łatwo znowu schwytano.

Ale jeżeli zwierzęta dłużej używają wolności, wtedy stają się dla ludzi bardzo niebezpieczne. Hagenbeck zauważył, że gdyby władze mogły stwierdzić, jaka menażerya bawiła latem w Styryi, to dzięki swym stosunkom, mógłby się od razu dowiedzieć, gdzie się menażerya ta obecnie znajduje i jakie zwierzęta z niej w danym czasie uciekły. Czytał w rozmaitych gazetach, jakoby przysłano mu odchody szkodników tych do zbadania, co nie zgadza się z prawdą. Po odchodach bowiem

nie można rozpoznać lwa od lamparta lub pumy.

Zadziwiające potwierdzenie znalazły słowa Hagenbecka przez znany w y p a d e k w Lipsku, gdzie ośm l w ó w wyłamało się z wozu cyrku Baruma, lecz żaden z nich nie zranił człowieka.

Wielkie zwierzę drapieżne na Stubalpie widziało dużo ludzi w niedzielę, 19-go zeszłego miesiąca, i to blisko Voitsberga. Rzuciło się ono na jednego z wie-

śniaków, który bronił się tyczką, a gdy mu inni pospieszili z pomocą, uciekł napastnik do lasu. Urządzono natychmiast naganę, lecz zwierzę przełamało ciasne koło naganaczy i uciekło poraz drugi. W poniedziałek widzieli je znów wieśniacy — chciało się rzucić na jakiegoś robotnika, lecz spłoszono je krzykiem i hałasem. Wszyscy naocznymi świadkami zapewniali, że zwierzę to wyglądało jak kot, lecz nie umieli go nazwać. Trzeboby wieśniaków tych posłać do cesarskiej menażeryi do Schönbrunn!

Z powodu wielkiego niebezpieczeństwa zamknięto na czas nieoznaczony obie szkoły ludowe i miejskie w Voitsbergu.

Nadto o niezwyklej tej sprawie pisze pan Sammerger z Wiednia, co następuje:

„Stojąc na czele małego oddziału myśliwych z powołania, którzy 12 dni ścigali drapieżnika, miałem sposobność dokładnego zbadania położenia rzeczy i opiszę istotę i tropy dzikiego zwierzęcia.

Jednym z najważniejszych powodów, dla którego nie udało się dotąd jeszcze zabić zwierząt (sądzę, że jest stare i młode) albo ich schwycić, jest ten, że mając niezmiernie rozległe, nieprzejrzane terytorium, mogą nieustan-



Polowanie w Czerwonym Dworze: 2. Stanowiska w wąwozach.

nie zmieniać miejsce pobytu. Są one wszędzie i nigdzie — dziś dziesiątkują trzode owiec, jutro, o 30 kilometrów dalej, porywają cielę lub nawet wołu.

Gdy mówię tu o swoich przypuszczeniach, pomijam wszelkie mylne domysły i wytwory fantazyi, jakie powstały w dziennikarstwie austriackim i pomiędzy publicznością z powodu niewidzialności zwierzęcia. Piszę tylko o tem, czego sam doznałem, co sam słyszałem i widziałem i cieszyłbym się, gdyby słowa moje rozjaśniły nieco tajemniczą ciemność, osłaniającą to zwierzę i naprowadziły „postrach chłopski“ w formy proste i naturalne.

Gdy 18 września r. b. przybyłem z Rößlach do Pack i gdy usłyszałem najnowsze wiadomości o dzikim zwierzęciu, poznałem natychmiast, że nie chodziło tu o zdziczałego psa. Faktem jest, że co rok napadają i rozszarpują wałęsające się w Alpach psy, owce a nawet i krowy, ale to są wypadki, ograniczające się na pewne okolice, a nie na odległości 100 kilometrów i pojawiające się z taką gwałtownością, że potrzeba innego, niż pies ma żołądka, aby wyrządzić takie spuszczenie.

Pierwszem mojem usiłowaniem więc było — dostać się na miejsce ostatniego napadu, o którym doniesiono z Garenes, w okolicy Niemieckiego Landsberga u stóp Koralpy. Był tam rozszarpany młody wół. Miałem sposobność zbadania tego napadu na Koralpie. Drapieżne zwierzę wskoczyło na grzbiet wołu, wpiło się pazurami z obydwóch stron w skórę i potrójnem silnem ugryzieniem w kark powaliło ofiarę na ziemię. Potem spadli oboje razem ze spadzistej pochyłości w strumień, gdzie się też dramat skończył. Ślady pazurów były z powodu długiej walki z napastnikiem bardzo widoczne. Dzikie zwierzę zdarło pazurami, jak ostrym nożem kawał skóry z wołu, a ślady pazurów były jeszcze większe w mięsie na centymetr głębokie. Potem rozszarpało wołu z boku, pożarło najpierw całą połędwicę, poczem z tylnej ćwiartki, około 25 kilogramów mięsa. W końcu usiłowało odkrytą kość uda pogryść, na kości bowiem były widoczne ślady zębów. Odległość kłów bocznych można było łatwo na ranie na karku wymierzyć — wynosiła ona 8—10 centymetrów. W każdym razie chciało zwierzę dostać się do szpiku, gdy zaczęło gryść grubą kość, że jednak rozszarpane bydlę leża-

ło w wodzie, przeto napastnik umaczał w niej język i to mu się nie podobało. Zostawił więc nagryzioną kość jako zajmujący dowód swych daremnych usiłowań.

Po stwierdzeniu wszystkich tych faktów widziałem, że chodzi tu tylko o lwa, albo tygrysa lub lamparta. Po sposobie czystego żarcia, po ranach, zadanych kłami w karku i po rozszarpaniu skóry pazurami, można było przypuszczać, że napastnikiem był lew, o wilku ani mowy być nie mogło. A przecież gazety austriackie, opierając się na opowiadaniach ludzi niefachowych, czasem jeszcze wspominają o wilku.

W Hirschegg oglądałem później rozszarpane owce, którym drapieżne zwierzę nadzwyczajumiejętnie jednym zamachem — przegryzło gardziel. Kilka owiec było tylko zagryzionych — na pozór żadnych nie widać było na nich ran, lecz po odarcie ze skóry ukazały się w mięsie ślady pazurów. I to powierzchowne badanie owiec wzbudziło w niejednym przypuszczenie, że napastnikiem był wilk. Jedna z owiec była prawie cała zjedzona, t. j. mięso było czyste ze skóry odarte, i oprócz tej skóry, czterech

nóg, głowy i szyi nic z owcy nie zostało. W odległości kilku kroków leżał żołądek i wnętrzności — nietknięte!

Oprócz tego zadziwił mnie inny jeszcze, na pozór zagadkowy wypadek.

Jedna z owiec żyła jeszcze nazajutrz, pomimo, że na gardle miała ranę i z tylnej nogi wydarty kawał mięsa. Wskazywało to wilka albo psa, lecz dowiedziałem się wnet z wiarogodnego źródła, że nie chodzi o jedno drapieżne zwierzę, tylko o dwa lub trzy — stare i młode! Teraz i ta zagadka była wyjaśnioną. Młode dzikie zwierzę albo zwierzęta rzuciły się na owcę — miały się nauczyć rozszarpywania ofiar, tak, jak koty uczą kocięta chwytac i jeść myszy.

Spostrzeżenie to mogłem stwierdzić faktem, w nocy z 24 na 25 września. Strzelcy siedzieli kilka godzin na rozmaitych stanowiskach, aby tym sposobem pochwycić rabusia. Owej nocy — w zupełnej ciszy, usłyszałem nagle około godziny ósmej, w odległości 300—500 kroków głośny, przeraźliwy krzyk, którego nigdy nie zapomnę. Krzyk ten był podobny do krzyku osła, był tylko przenikliwszy i głośniejszy. (Tak krzyczą pumy). Tej samej nocy



Polowanie w Czarwonym Dworze: 3. Droga, prowadząca na stanowiska w uroczych wąwozach Czerwonego Dworu.

słyszał pewien żandarm głuchy ryk, a znalezione później świeże stopy w rozmaitych miejscach upewniły mnie, że chodzi tu o lwicę, lamparta, jaguara, albo pumę z młodem lub dwoma młodem.

Wieśniacy widywali często owo dzikie zwierzę, chociaż byłoby naturalnem, gdyby potwór ten był wogóle niewidzialny. Poluje on tylko nocą.

Ci, którzy go widzieli, opisują go bardzo rozmaicie, jedni mówią, że to lew, inni, że wilk, lecz podług mego zdania, odgrywa tu wyobraźnia wielką rolę i na takie opowiadania zwać nie można. Oprócz tego uciekało zwierzę zawsze tak szybko, że w lesistych okolicach byłoby nawet doświadczonemu myśliwemu trudno rozpoznać zwierzę, widzialne tylko na sekundy.

Sądząc z tropów, oświadczył znany myśliwy afrykański Bronsart Schellendorf, że zwierzę to jest lampartem.

Skąd ono przyszło, to jest dziś jeszcze zagadką, lecz wszyscy zgadzają się na to, że chodzi tu o zwierzęta, które uciekły z małej, wędrowniej menażeryi. Władze starają się usilnie o wyjaśnienie tej zagadki.

Zachowanie zwierzęcia potwierdza ogólne przypuszczenie. W obwodzie tym znajdują się dwa obszerne zwi-

erzyńce, należące do hrabiego Henkel Donner-smarcka i do księcia Lichtenstein. W obydwóch znajduje się dużo zwierzyny, drapieżne zwierzę miałoby tu więc łatwą zdobycz. Ale pomimo tego unika ono drucianego płotu. Może mu to przypominakłatkę, a więc niewolę i wspo-

mnienia menażeryi budzą się w niem na nowo. Zwyczajne płoty drewniane przeskakuje bez namysłu.



Polowanie w Czerwonym Dworze: 4. Stanowiska na trzęsawiskach.

ludności jest bolesnem, o tyle dla innych zajmującym — jak niezmierną szkodę może wyrządzić jedno tylko zwierzę w ucywilizowanych okolicach.

Tyle p. Sommererger — tymczasem spadły w Styryi śniegi tyle oczekiwane tamże skutkiem niezwykle wypadków i wykazały one dowodnie, iż zwierzęciem tak wielkie szkody wyrządzającym jest w rzeczywistości lwica z lwiatkiem małym. Skutkiem nadejścia zimy, bydła i owce spędzono z hal do obór, drapieżnik przeto zmuszony został do szukania ofiar żarłoczności swojej w zwierzynie, którą też w straszliwy sposób dziesiątkuje. Co-

dziennie znajdują leśnicy rozszarpane jelenie i sarny! Bezbronni mieszkańcy gór obawiają się wychylić po za ściany domu w słusznem przypuszczeniu, iż teraz na nich może przyjść kolej. Szkoły pozamykano. Obecna ponowa wszakże daje sposobność licznym z dalekich



Polowanie w Czerwonym Dworze: 5. Od lewej strony do prawej: hr. Władysław Zamoyski, Margrabia Aleksander Wielopolski, hr. Aleksander Iliński-Kaszowski.

stron przybyłym myśliwym dokładnego tropienia drapieżników, których już miano w dość małym ostępie osaczyć. Tak donoszono już przed kilkunastu dniami, ale o ubiciu postrachu chłopskiego dotąd głucho.

III.

Zawsze ta sama historia — lew, tygrys czy puma? a zawsze w lesie...

Mieszkańcy Alp styryjskich swobodniej już oddychać zaczęli, zdawało się bowiem, że zagadkowe bestye, trapiące od dłuższego czasu tamtejszych chłopów i pasterzy, uwolniły styryjskie okolice od swych krawych napałów. Wobec pościgu setek strzelców zwierzę przycisnęło na dni kilka.

Aż oto rozeszła się wiadomość, że w pewnej miejscowości pojawiły się znowu owe krwiożercze zwierzęta. Ujrzały je trzy osoby w jednej i tej samej kniei, a że było to w dzień biały, mogli je przestraszeni świadkowie osaczyć i opisać dokładnie. Oto jednozgodny ich opis:

T a j e m n i c z y zwierzę jest wielkości tęgiego psa, podłużny, z przodu silnie zbudowany, ma łapki wielką głowę, którą nosi wysoko. Z w i e r z pokryty jest długim włosem, koloru czerwonoszarego, i ogólnie uważa się go za lwa.

Styrę nawiedzały wprawdzie już dawniej różne bestye, które z lubością zamieszkiwały górskie jaskinie. Podobnego jednak zjawiska dotąd nie spostrzeżono i ztąd ów popłoch i postrach, który powoduje najdziwniejsze komentarze. Stolarz pewien wracał z córką swą wieczorem do domu, droga zaś wiodła przez ciemny, wielki las. Nagle usłyszał w gęstych zaroślach złowieszczy pomruk i trzask łamanych gałęzi. Wtem wyskoczył z zarośli zwierzę, mniej więcej metr wysokie, przeleciał w potężnych skokach przez drogę i znikł w gąszczu leśnym. Biedny stolarz do tego stopnia się wystraszył, że niezdolny był do dokładniejszego opisu, spamiętał tylko wysokość zwierzęcia i jego świecące jasno-żółte ślepie. Również kilku robotników widziało oną bestyę, gdy w szybkich skokach przebiegła przez drogę. Ogólnie twierdzą naoczni świadkowie, że zwierzę ów zasadniczo różni się od

psa i skacze na sposób kota. Chodzi więc o lwicę. Wieści takie oczywiście nie podziałały uspokajająco na innych mieszkańców Alp styryjskich. Przeciwnie wywołały postrach do tego stopnia, że nawet najodważniejsi wieśniacy bez broni nie opuszczają mieszkań.

O humorystykę w tej całej aferze starają się przygodni myśliwi, którzy dopiero w górach chcą się nauczyć strzelania. Po krótkotrwałej bezowocnej pogoni za zwierzem wracają z oburzeniem do domu, złorzecząc, że lew się im nie nawinął. Wymyślają przy tej okazji, że zwabiono ich niepotrzebnie w góry. Dwóch wiedeńczyków podjęło się również walki ze zagadkowym „smokiem”. Postanowili na drzewie rozłożyć się obozem, zabrali

wszelkiego rodzaju sprzęty kuchenne, i zamierzali urządzić się najwygodniej, a by przetrwać t r u d y niebezpiecznej wyprawy. Zimno jednak już nazajutrz spędziło ich z drzewa, udali się przeto do leśniczówki, skąd atoli już po trzech dniach wyruszyli z powrotem do Wiednia. Aby zaś wyprawie swej dodać uroku, nie omieszkali jak najszersze koła znajomych powiadomić o niebezpieczeństwach podjętej ekskursji, streszczając swe myśliwskie uczucia we wykrzykniku: „Z w i e r z ryczy



Polowanie w Czerwonym Dworze: G. Flirt na polowaniu (Ks. Włodzim. Czetwertyński, hrabina Edwardowa Tyszkiewiczówna, hr. Aleks. Iliński-Kaszowski).

przeraźliwie“.

Pocieszne są dla zawodowych myśliwych stopy listów i projektów, które nietylko ze Styrii, ale i z Austrii i Niemiec codziennie napływają do centrali łowieckiej. Z licznych projektów niektóre godne są zamieszczenia w pismach humorystycznych. I tak opisuje „praktyk” jakiś z Wiednia „doniosły przyrząd”, mogący jedynie wytepić „postrach chłopski”. Rzecz ta składa się z kuli drewnianej, średnicy 7 cm., uzbrojonej w sześć żelaznych haków. Całość, 21 cm szeroka, owinięta ma być mięsem, no i — połknięta przez bestyę. Wtedy oczywista „postrach chłopski” znajdzie swój kres. Szkoda tylko, że wynalazca tego „zabójczego” przyrządu osobiście nie pofatygował się na miejsce tracenia, bo mógłby ze skutkiem niewątpliwym cały swój figiel wpakować w paszczę zwierzęcia.

„Postrachem chłopskim” zainteresowali się słusznie także poczciwi szewcy i krawcy, którzy nie szczędzą życzliwych swych rad

i wskazówek. Niektórzy z nich twierdzą stanowczo, że zarząd lasów styryjsko-alpejskich i kompetentne ku temu czynniki winny opasać owce zatrutemi węzami gumowemi, napełnionemi tłuczonym szkłem i podobnemi innymi bakaljami i wypuścić następnie niewinne jagniątko na zgubę dzikiej bestyi. Pocziwcy zapominają, że „postrach chłopski“ o wytrawnym żołądki byłby im niezawodnie wdzięczny za podobną siupryzę.

I żandarmeryi styryjskiej nie oszczędza „postrach chłopski“. Pewien opasły stróż bezpieczeństwa zauważył na skraju lasu zwierza, gdy w towarzystwie swych młodych badał swój obszerny teren eksploatacyjny. Pełen trwogi pobiegł do najbliższego urzędu telegraficznego, aby natychmiast powiadomić centra-

lę łowiecką o zrobionem odkryciu. Biedak w pośpiechu zapomniał, że była to niedziela, że więc urzędy pocztowe zamknięte. Ale bo też ktoś mógł przewidzieć, że bestya dzika akurat w niedzielę się pojawi?

Dla łowców zawodowych najczęściej uciechy przynosi niedziela, gdy ranne pociągi zwozić zaczynają ze wszystkich stron kraju przygodnych pogromców straszego lwa, którzy po kilkugodzinnym spacerze górskim udają się do najbliższej restauracyi, by tam opowiedzieć sobie o wrażeniach z odbytych „łowów“. Że i w teatrach wiedeńskich opiewają grozę niebezpieczeństwa „postrachu chłopskiego“, nic w tem dziwnego. Bo jakżeż nie uwiecznić tematu tak aktualnego w scenicznym utworze?

Ptak tajemniczy.

Zwyczaje kukułki zawsze zaciekały przyrodników, ale od czasów Arystotelesa, który pierwszy bodaj je opisywał, bardzo niewiele uczonym udało się wyjaśnić tajemnice życia kukułki.

W i a d o m o tylko, że był czas, gdy kukułka niosła się we własnem gnieździe i sama wychowywała swe pisklęta. Skutkiem czego więc zaszły zmiany w jej zwyczajach i obyczajach?

W Ameryce żyje mały ptaszek „Malotrus“, który żywi się owadami, żyjącymi w pobliżu stad bawołów i koni i razem z niemi się przenosi, więc nie pozostaje dłużej na jednym miejscu, dlatego też kładzie jajka, jak nasza kukułka, do cudzych gniazd. Możliwe jest, że kukułka zmuszona była prowadzić kiedyś koczownicze życie, w zależności od stad zwierząt. Stada owe kultura wytrzebiła, ale obyczaje kukułki może przetrwały w potomstwach. Nie można

jednak stanowczo tego twierdzić.

Przekonano się, że kukułka znosi jajko wprost na ziemię i później dopiero w dziobie przenosi je do upatrzonego gniazda. Pewien przyrodnik był świadkiem, jak kukułka przyniosła jajko w dziobie i złożyła je do gniazda czeczotek, które długo wprost walczyły z nią, broniąc gniazda, a jednak udało się jej dokonać swego zamysłu. Gdy odleciała, przyrodnik wyszukał gniazdo i znalazł w niem pięć jajek, z których jedno pokryte było lepka śliną. Czy kukułka zjada cudze jajko, aby na to miejsce złożyć swoje, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że składa jajka do gniazd małych ptaszków: gilów, sikorek, trzciniczek, czyżyków, czeczotek i t. p. Ciekawa rzecz, że choć jajka tych ptaków różnią się pod względem wielkości i kolorów, jajka kukułki zawsze mniej więcej są podobne do tych jajek.



Zwyczaje młodej kukułki są już lepiej poznane. Pisklę odznacza się nadzwyczajnym apetytem i wychowawcy jego karmią je z wielkim staraniem. Zjada za wszystkich i objada ich rodzone dzieci. Sądono nawet, że sami rodzice zabijają własne dzieci, widząc, że gość jest nienasycony, i że wszystkich nie zdołają wykarmić. Liczne badania, potwierdzone zdjęciami fotograficznymi, dowodzą, że przestępstwa tego dopuszcza się samo pisklę kukułki. Ściśle biorąc, nie morduje ono przybranego rodzeństwa, ale wyrzuca je z gniazda i umiera ją one z głodu i zimna. Będąc zupełnie słabe, pisklę kukułki, podobne do żaby, z niezwykle rozwiniętymi łopatkami, korzysta z wgłębienia między nimi, jakby przygotowanego do podtrzymania jajek i ptaszków i wyrzuca je z gniazda.

Umieściwszy sobie na grzbiecie pisklę, posuwa się do skraju gniazda i potem, zebrawszy siły, zrzuca z siebie ciężar, który wypada z gniazda. W ten sposób pozbywa się wszystkich towarzyszków i uspokaja się, gdy zostaje panem gniazda. Jest zastanawiające, że pisklę kukułki spełnia to, będąc jeszcze ślepe, z dziwną zręcznością.

Badacze podnosili wyrzucone pisklęta i kładli je z powrotem do gniazda, ale ślepe kukułczę znów zabierało się do wyrzucenia z gniazda i czyniło to dotąd, póki nie uczuło zmęczenia, a zmęczone, odkładało robote do drugiego dnia.

W jedno gniazdo kładą jajka dwie nawet kukułki. Gdy wylęgą się obie kukułki, to rozprawiają się najprzód z przybranymi brać-

mi, a potem walczą z sobą, póki nie zginie słabsze. Wogóle kukułczę, gdy poczyła żyć, nie cierpi rywali i odznacza się wielkim egoizmem, ale już po 12-tu dniach przyjmuje towarzyszy, żyje z nimi w jednym gnieździe i zaprzyjaźnia się. Bratobójczy instynkt trwa tylko w pierwszych dniach życia, dopóki nie zrówna się pogłębienie między łopatkami. Jakież to ciekawe zagadnienie dla ornitologów!

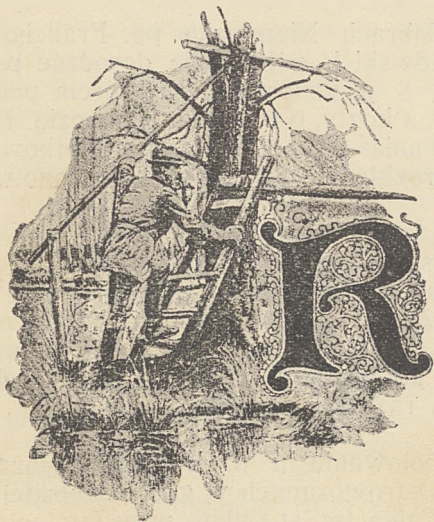
A jak sobie wytłómaczyć dziwną troskliwość przybranych rodziców, którzy uczucie macierzyństwa posuwają do tego, że poświęcają rodzone dzieci, aby wychować przwłędę.

Kukułka — samiczka znosi co wiosna cztery lub pięć jajek, ale nigdy nie składa kilku do jednego gniazda. Wybiera odpowiednią chwilę, gdy jakiś ptaszek, np. piegża, zaczyna siedzieć na jajkach.

Aby zrobić miejsce dla swego jajka, kukułka bardzo często wyrzuca z gniazda jedno lub dwa jajka piegży, która wróciwszy, nie spostrzeżga wcale tej zmiany.

Potrzeba mniej więcej dwunastu dni, aby wylęgło się to dziecko, oddane „na niańki“ i zazwyczaj wykluwa się wcześniej niż dzieci piegży lub innego ptaszka, w którego gniazdku złożono jajko. Jest to wielka przewaga dla kukułczego pisklęcia.

Gdy tylko wyjdzie z jajka, pisklę to stara się zrobić sobie jaknajwięcej miejsca. Rusza się na wszystkie strony, póki nie wyrzuci poza gniazdko niewylężone jeszcze jajka, a nawet gdy są już małe pisklęta, niewdzięczny podzutek umie się ich pozbyć.



RÓŻNE.

Rower na polowaniach.

Na temat: czy rower może być użyty przy urządzaniu polowań, toczy się obecnie żywa polemika w sferach myśliwskich Francji i Niemiec, przeważa zaś pogląd, że jest to możliwe, o ile myśliwi zachowają konieczne w takich razach środki ostrożności. I nietylko jest to możliwe,

ale nawet przyznano, iż rower wprost świetnie oddawać może usługi.

Rzecz naturalna, iż przedewszystkiem używać trzeba maszyny silnie zbudowanej, ważniejszą jednak rolę gra jeszcze futerał do przechowania fuzji. Otóż zdaniem wytrawnych łowców, futerał ten powinien być wyrobiony z mocnej

skóry, o formie możliwie najbardziej płaskiej i dwu pasach do noszenia, ewentualnie do zawieszania strzelby. Te dwa pasy zakłada się prostopadłe na górnej ramie roweru.

Sam futerał powinien mieć wewnątrz przegrodę, ażeby lufa i kolba leżały w nim oddzielnie. Jeden z pasów biegnie przy końcu kolby i ten właśnie pas przymocowuje się do siodelka, drugi zaś zakłada się na frontowej części roweru. Ponieważ futerał ma formę płaską, więc nie przeszkadza bynajmniej podczas jazdy, broń zaś w nim się znajdująca, ochroniona jest przed kurzem.

Taki przyrząd jest nieoceniony, a ma jeszcze i tę dobrą stronę, że niekoniecznie służyć może wyłącznie dla przewożenia broni, inne bowiem rzeczy, a nawet prowianty dają się w futerałach łatwo pomieścić.

Ale i bez futerału można się obejść, gdy się chce używać roweru na polowaniach: można poprostu broń przewiesić na plecach. Mniej to w każdym razie jest wygodne, a nawet przy dalszych podróżach może się okazać bardzo kłopotliwe. Ażeby więc temu zaradzić, zaczęto w Niemczech wyrabiać specjalne przyrządy, w rodzaju worków ze skóry, wewnątrz wypchane watą, trawą morską i t. p. Ale i to jeszcze nie zabezpiecza dostatecznie na wązkich drogach, ścieżkach leśnych itp. zawsze jeździec narażony jest na ocieranie fuzyi o drzewa.

W żadnym razie nie powinno się jeździć na rowerze z fuzyą nabitą.

Oprócz futerałów wyrabiane bywają specjalne łożyska, które umieszcza się przy kierowniku, i które służą do tego, ażeby broń zachowana była mocno i ażeby zabezpieczona była od wszelkiego tarcia.

Na borsuka.

Ponieważ obecnie nadeszła pora, podczas której można z powodzeniem polować „na wychodnego” na borsuki, przeto podaję ulepszony trochę sposób polowania na nie, gdyż nigdzie w literaturze łowieckiej ze sposobem tym nie spotkałem się.

O godzinie 12-iej w nocy, kiedy borsuk już wyszedł z nory na żer, trzeba w otwór nory wsunąć zwyczajny, ale mocny worek, do którego brzegów przyszyto kilkanaście kółek metalowych, jak przy niektórych rozsuwanych roletach. Przez kółka przewleka się dość mocny sznurek, którego końce przywiązują się do najbliższego drzewa nad otworem nory, ewentualnie w braku jego blisko do kółka, wbitego w ziemię. Otwór worka trzeba możliwie jaknajszerzej rozpostrzeć w kanale, aby szczelnie przylegał do ścianek, do czego pomagają szpilki z cienkich patyczków, którymi przypina się worek do ziemi, lub też można użyć cieniutkiej gałązki wierzby koszykarskiej, którą w kształcie obręczy umieszcza się w wylocie worka.

Kto polował na borsuki, „na wychodnego” przy norach, ten doskonale wie, że nieraz nawet śmiertelnie raniony borsuk wpada z po-

wrotem do nory, a dostać go z niej nie jest przecie tak łatwo, szczególnie o ile nora jest stara, gniazdowa.

Przy norze trzeba być przed świtem najmniej na godzinę, aby oczekiwać na borsuka, powracającego z nocnej hulanki. Wówczas, jeżeli zwierza nawet się nie widzi, a słyszy jego obecność już przy norze, można strzelać na słuch, a borsuk w każdym wypadku odrazu skoczy do nory, a właściwie do worka, mimowoli zaciągając za sobą jego otwór i zamykając sobie wyjście. Jeżeli nora posiada kilka otworów, to wszystkie mniejsze lub rzadziej używane trzeba pozatykać. Przy norze można siedzieć w odległości kilkunastu kroków, aby tylko nie palić z przeciwnej strony ścieżki borsuka i pod wiatr od niej.

W. C.

Nasze dołączniki.

Do dzisiejszego numeru „Gazety Leśnej i Myśliwskiej” dołączamy prospekty dwóch wybitnych pism warszawskich; a mianowicie:

- 1.) Organu bezpartyjnego, codziennego p. t. „**Dzień**”
- 2.) Tygodnika, odzwierciadlającego żywo chwilę bieżącą p. t. „**Świat**”.

Na oba te prospekty zwracamy uwagę czytelników naszych.

Kronika myśliwska.

W d. 15 i 16-ym b. m. odbyło się doroczne polowanie u Czesława ks. Światopółk-Mirskiego w Worońcu w 12 strzelb. Pomimo niesprzyjającej pogody zabito 230 zajęcy, 5 kozłów, 80 bażantów i 18 kuropatw.

W dobrach Niemienice pp. Franciszkostwa Kotkowskich odbyło się doroczne polowanie dn. 8 października, na którym padło: 246 zajęcy, 3 kozły, 6 kuropatw, 2 kaczk. Królem polowania był p. Seweryn Kotkowski, mając na rozkładzie 32 sztuki. Polowano w 12 strzelb.

W lasach Kublickich, gub. podolska, u p. Kazimierza Jaroszyńskiego odbyło się polowanie dn. 21, 22 i 23 października w 12 strzelb. Rezultat: 3 rogacze, 236 zajęcy, 75 kogutów bażancich, 2 kuropatwy, 2 słonki, 1 lis, 12 drapeżników, razem 331 sztuk.

Na polowaniu u p. Dominika Starzeńskiego w Ostrowczanach w gub. podolskiej dn. 27 października (st. st.) ubito przy fatalnej pogodzie w 12 strzelb, w 8 miotach: 15 bażantów, 70 zajęcy, 1 wiewiórkę i 3 sowy. Kozły na strzał nie wyszły.

Na polach Żochcińskich w Garbaczu gub. piotrkowskiej u p. Konstantego Jagnińskiego odbyło się polowanie dn. 29 października, na którym padło: 97 zajęcy, 13 kuropatw, razem

110 sztuk. Królował p. Stanisław Jagniński, mając najwięcej na rozkładzie. Polowano w 9 strzelb.

W lasach w Białaczewie Zygmunta hr. Platera odbyło się polowanie w dn. 4 i 5 listopada w 12 strzelb, na którym padło: 309 zajęcy, 2 lisy, 1 słonka, 6 królików, 10 kuropatw, 2 różne. Razem 330 sztuk dnia pierwszego. Królem był Andrzej hr. Żółkowski, mając 43 sztuki na rozkładzie.

Drugiego dnia ubito: 1 dzika, 6 słonek, 316 zajęcy, 86 królików, 87 bażantów, 7 kuropatw, 2 różne, razem 505 sztuk. Królował Edward hr. Plater z 66 sztukami.

Ogółem padło 835 sztuk przy pięknej pogodzie.

Na polowaniu w dn. 5 i 6 listopada w lasach Włodawskich dóbr Różanka, Augusta hr. Zamoyskiego ubito w 9 strzelb w 2 rewirach, przy pochmurnej pogodzie: 14 dzików, 17 rogaczy, 164 zajęce, 6 cietrzewi, 9 kuropatw, 5 słonek, 1 lisa i 5 różnych, razem 221 sztuk.

W dniach 17 i 18 listopada r. b. odbyło się u p. Stanisława Godlewskiego w Luszynie, gub. warszawska, polowanie, na którym w 12 strzelb ubito: 503 bażanty, 45 królików i 2 kuropatwy.

W Osuchowie, własność hr. Edwardów Platerów, ubito na polowaniu przy fatalnej pogodzie: 324 zajęcy i 41 kuropatw. Królował Zygmunt hr. Plater z Białaczewa, mając na rozkładzie 63 sztuki.

W dniu 15-m listopada odbyło się polowanie w lasach dóbr Kamionackich pp. Stanisławostwa Mirosławskich w 17 fuzji, na którym zabito przy fatalnej pogodzie do południa ogółem 139 sztuk, a mianowicie: 1 dzika, 6 kozłów, 40 zajęcy, 1 bażanta, 1 cietrzewia, 2 kuropatwy, 1 jastrzębia i 87 królików.

Dzików, których tu jest dużo, w dniu tym w miotach nie było, gdyż wychodziły przed ich wzięciem. Królestwo polowania podzielili między sobą pp. Michał Wodziński z Sierakówka i Zygmunt Siemiątkowski z Męckiej Woli.
Jeden z uczestników.

W Sobowie u hr. W. Komorowskiego odbyło się polowanie w 3 strzelby na kuropatwy i zajęce w dniach listopada 21 i 22; ubito 114 kuropatw i 42 zajęce. Polowano na strefy w lesie i polu, przestrzeń opolowana obejmuje 715 morgów.

Królem polowania hr. Wacław Komorowski.

W Sandomierskiem wogóle kuropatw jest dużo — tylko brak prawdziwych myśliwych — panowie właściciele pięknych i bogatych ziem, nie troszczą się wcale o zwierzynę, a dla kuropatw wcale nic nie robią, a remizy są konieczne, pomimo tego, że w każdym folwarku tu

i owdzie trafiają się nagie nieużytki które przy małej chęci właścicieli mogłyby być krzewami zasadzone.
Pedro.

W dniu 11, 12, 13, listopada r. b. odbyło się w ordynacji Chroberz Margrabiego Wielopolskiego polowanie strefami, w leśnictwie Zaborzewskim i Terowskim gdzie ubito: 1049 zajęcy, 21 bażantów, 15 kuropatw, 1 lis, 5 różnych, razem 1091 sztuk. Powinno paść więcej, lecz kłusownictwo, które jest w tych stronach rozwinięte niesłychanie i któremu walkę wypowiedziano grasuje bardzo. Przy usilnej pracy doczekamy się za lat kilka innych innych rezultatów. Udział brali: hr. Iliński Kaszowski który był królem, zabijając 325 sztuk, margrabia Wielopolski i margrabina Wielopolska, pełnomocnik Drojecki.

Wilki. W okolicy Wołożyna, od strony pow. mińskiego, zjawiły się w dużej liczbie wilki. Wyrządzają one od kilku tygodni poważne szkody w lasach. W Wiałej, gdzie hr. Tyszkiewicz posiada wspaniały zwierzyniec, przez kilka nocy z rzędu wilki mordowały sarny i daniele. Nadto krążyła pogłoska, że jeden z wilków jest wściekły. Miał on pokąsać kilku włościan i wielu psów. Brak śniegu nie pozwolił wytropić drapieźników i zorganizować obławy. Dopiero ostatniej niedzieli, gdy spadł śnieg, nadleśnictwo hr. Tyszkiewicza zarządziło polowanie. Z wytropionych trzech wilków jeden zdołał się wymknąć. Zabito dwie ogromne sztuki. Na tem się jednak nie skończy; szykuje się wkrótce nowa obława.

Wybuch bomby u leśniczego.

Do mieszkania leśniczego, Edmunda Kmity. Na szczęście w pokoju podówczas nikogo jędrzejowskim, o godz. 2 po półn. rzucono przez łufcik bombę, która wybuchnęła, wyrwała część podłogi i sufitu i uszkodziła sprzęty. Na szczęście w pokoju podówczas nikogo nie było.

P. Kmita pracuje w dobrach margr. Wielopolskiej.

Sprawców rzucenia bomby ujęto.

Zamach był spełniony przez zemstę defraudantów, pragnących koniecznie pozbyć się leśniczego.

Czterech mocno poszlakowanych o ten zamach osadzono w więzieniu śledczem w Kielcach.

Śmierć na polowaniu.

Dnia 4 b. m. popołudniu, — jak donosi „Nowa reforma“ — wybrali się oficjaliści dóbr Andrzejowej hr. Potockiej na tak zwane okrężne polowanie w okoliczne rejony Krzeszowic. W drodze jednemu z nich wypalił sztucer i nabój ugodził w płeć 35-letniego Kazimierza Siewiora, pomocnika leśniczego. Natychmiast wezwali doktora, który po tymczasowym opatrzeniu polecił przewieźć ranego do Krakowa. Na stacji jednak w Krzeszowicach ofiara wypadku zakończyła życie.



Ze wspomnień nieznajomego.

WŁAD. CZERNIEJAWSKI.

Dziś wieczór wigilijny. Pod polską strzechą płoną wesołemi światełkami przystrojone choinki, rześnistymi światłami gorzą świątynie, lud pobożny spieszy na pasterkę, w prawosławnej Rusi jęczą cerkiewne dzwony—cały świat chrześcijański cieszy się i raduje, tylko daleko, wśród lodowatych mórz samotnie rzucona wyspa drzemie, skuta lodową skorupą, żaden głos, dźwięk najmniejszy, nie mąci grobowej ciszy, spowijającej dziś te bezbrzeżne zamrażone przestrzenie. Nawet ustawicznie trapiące te kraje burze nie huczą tu dzisiaj, nie jęczą bezprzestanne wichry, morze nie stęka pod ich strasznym naporem, śpi dziś ono spokojnie. Kraj to dziki, pusty, niegościnnie, kraj wiecznej zimy i wiecznej śmierci.—W tej surowej i bezludnej krainie dalekiego północnego Wajgaczu, nad brzegiem mórz zamrażonych, pod ścianą ogromnych złomów granitowych, leży kilka chałup samojedów, a z ich ostrokątnych dachów, na wpół śniegiem zaspanych, wznosi się gdzie niedzgie jeszcze lekkie obłoczki dymu; inne spoczywają już w zupełnej ciemności, w twardym śnie pograżone. Opodał od mizernej tej wioszczyzny, w ustronnem zaciszu wznosi się na tle białych śniegów budynek odmiennego zupełnie typu, obszerny, wysoki i mocno zbudowany. Z wysokiego jego komina strzela ku niebu słup czarnego dymu, a wydobywające się przez szczeliny okien na zewnątrz światło, ściele długie smugi jasnych promieni, miriadami różnobarwnych gwiazdek migoczących się na białych śniegach i lśniących lodowcach.

W obszernej izbie, na dużym kominie bucha rześnisty ogień, miłe roznosząc ciepło po izbie, lampa na stole oświeca stosy rozrzuconych książek i papierów — w nieładzie na innym stoją liczne przyrządy miernicze i astronomiczne instrumenty. Dokoła ścian obszernych ciągną się długie, szerokie ławy, miękkimi skórami reniferów, niedźwiedzi i wilków zaściane, śnać słuchające za postania. Na jednej z ław, naprzeciw

gorejącego ogniska leży człowiek młody jeszcze, wyniosłej postawy i miłego oblicza, przybrany w ciepłą kurtę futrzaną i wysokie buty. Zda się drzemać, czy pograżać w głębokiej zadumie. Obok na pęku skór miękkich, zwinięty w kłębek, śpi ostromordy szpic, jedyny towarzysz nieznajomego nam mężczyzny. „Kudłatka“, tak zwie się pies śpiący, był dzieckiem chłodnej tej krainy, urodził się wśród śniegów i mrozów i jeszcze do niedawna dzielił los swych psich współbraci, pomagał przeciągać sanie samojedów w ich koczowniczych wędrowkach, paść ich trzody, chodził na łowy dalekie, często przymierał głodem, kostniał od zimna. Byłby zapewne pędził swój marny żywot do końca, gdyby nie trafił niespodziewany zgotował mu los znośniejszy. Oto po długiej kilkumiesięcznej zimowej nocy zajaśniało ożywcze światło słoneczne i wieczną noc na dzień bez końca zmieniło, powiały ciepłe z południa wiatry, połamały i pokruszyły okowy lodowe, odpędziły je od brzegów wyspy, a prądy wschodnie uniosły je ku dalekim biegunom, oswobodzone od zimowego uścisku morze zajaśniało sinemi wodami, śniegi stopniały,—a tajga zielonym okryła się kobiercem i barwne kwiecie upstrzyło doliny. Setki tysięcy kaczek, nurów lodowców, alk, mew i innego wodnego ptactwa pojawiło się w przystani, skwapliwie zagnieździło się na przybrzeżnych urwiśkach skał i swym gwarem i wrzaskiem ożywiło śpiącą dotąd ustronną wyspę. Nadbrzeżne rały i wysepki stały się ulubionem miejscem wypoczynku fok, na które samojedzi w ukryciu czatowali. Coraz częściej samojedzi przybywali nad brzegi przystani dla polowania i połowu ryb, gdy jednego pięknego poranku ujrzeli na dalekim horyzoncie modrych wód morskich maleńki punkcik biały. Biały przedmiot szybko zbliżał się ku wyspie—już widać wyraźnie wzdęte płótna żagli, dalej czarny kadłub okrętu, który wyrzucając z swego wnętrza kłęby ciemnego dymu, sapiąc

i stękając, niebawem wpłynął do przystani i w niej zarzucił kotwicę. Rozległ się przeraźliwy świst syreny—zawarczały maszyny i windy, zagrzemiał głos komendanta i przystań zarojła się białymi szalupami i łodziami. Z pośpiechem przewożono na brzeg ogromne belki, szerokie deski, pełne wory, ładowne paki, węgiel i masę innych przedmiotów, a zrzęzni cieśle okrętowi składali belki, przyciosywali deski i za dni kilka stanął dom duży, a przy nim umieszczona wysoka wieżyca obserwacyjna.

Gdy już wszystko było urządzone, przybył ze statku w towarzystwie oficerów załogi nasz „nieznajomy“ i osiedlił się w nowym budynku. Przybył on tu w celu naukowym i na długo miał się on rozstać ze swymi towarzyszami, światem cywilizowanym i tem wszystkiem, co drogim było sercu jego, a co pozostało w dalekiej stronie. Na poważnej jego twarzy zasiadła widoczna troska i smutek głęboki, a gdy sprzyjająca pora nadeszła dla żeglugi i powiały oczekiwane wiatry, dano sygnał odjazdu. Ze łzą w oko zęgnął on swych przyjaciół i towarzyszyw podróży.

Dawno już wzburzone bałwany zakryły w swych ogromnych falach oddalający się raźnie okręt — dawno znikł on na dalekim horyzoncie, a nasz nieznajomy siedział wpatrzony łzawem okiem w bezbrzeżną przestrzeń. Przypatrywali mu się samojedzi ciekawie, oglądali jego broń, ubranie, cisnęli się ku niemu—szli z nim do chaty.

Między widzami był stary samojed, gospodarz Kudłatki, który wielką powagą, łagodnością i przyjemną powierzchownością wyróżniał się od innych. Obce i nieznane są nam przychylny sympatji, jakim często mimo naszej woli i dążeń ulegamy bezwiednie, a które tak silnymi łączą nieraz węzłami dwa różne życia i przykuwają je na zawsze do siebie. Tak też i nasz nieznajomy uczuł sympatję do Kudłatki i jego gospodarza. Kudłatka w zamian ocierał się o nogi i łasił nieznajomemu. Za rubla i szklanicę wódki pies przeszedł na własność nowego pana i odgadł nie opuszczał go na chwilę, dzielił z nim dobrą i złą godzinę—stał się jego najmiłszym towarzyszem.

Lato całe nasz nieznajomy spędził w tajdze. Robił pomiary, fotografował pejzaże, zbierał jaja, suszył rośliny, gromadził minerały, z samojedami chodził na łowy za zwierzem — opływał wybrzeża, strzelał na ptaki lub łowił ryby i morskie żyjątko. Wiele czasu przesiadywał nasz X w obserwacyjnej wieżycy, robił spostrzeżenia meteorologiczne, a biedny Kudłatka cierpliwie oczekiwał swego pana na dole, wesołym szczekaniem oznajmiając swe zadowolenie z czynności pana. Często w dni letnie i ciepłe wieczory nasz uczone przesiadywał długie godziny nad brzegiem przystani z obliczem zwróconem na zachód w stronę rodzinną, a wtedy bystry spostrzegacz dojrzałby zapewne w jego twarzy głęboką troskę i nieutuloną tęsknotę za wszystkiem, co drogiego pozostało w dalekiej ojczyściej krainie. Kudłatek nie pojmował smutku i zadumy swego pana, ale jego psia natura odgadywała tęsknotę jego, więc często wstawał, podchodził, ocierał się o jego nogi, lizał ręce i mądremi oczami wpatrywał się w jego

oblicze, a gdy smutny uśmiech zawitał na niem, pies radośnie kręcił puszystym ogonem. Czas mijał, słońce blade z dniem każdym i niżej opuszczało się ku ziemi—jesień zbliżała się raźnie.

Długie klucze szarych gęsi w milczeniu ciągnęły na południe — niekiedy tylko smutne ich gęganie smutnym zalem odzywało się w sercu naszego nieznajomego. Sznury białych łabędzi coraz częściej przepływały około wyspy i gdzieś nikły szybko w przeskokach, ptactwo z urwisk i skał szybko wynosiło się w cieplejsze strony — zamierał gwar i krzyki, wyspa i cała okolica pustoszała z każdym dniem, niemal z każdą godziną. Zato jakby na zmianę częściej pojawiał się lis, pies puszysty — niekiedy niedźwiedz zajązwał do przystani, zabielał na ciemnej skale i znikał szybko. Stada wyder nie rzadko podpyływały do samych ścian skalnych i ciekawie wytykały swe okrągłe mordy nad powierzchnię wód, ciekawie rozglądając się po okolicy. Coraz częściej dęły wiatry wschodnie, a choć lodowców nie było jeszcze widać, to bliskość ich już odczuwać się dawała, poprzedzały je zimne i gęste mgły. Morze wzdymało się, bałwany pięły coraz wyżej, natarczywiej biły w granitowe ściany, cofały się, by powrócić z większą jeszcze zaciętością i z podwojoną siłą uderzać w nią ponownie. Huczało morze, trzęsły się skały — jęczały pod jego naciskiem, a spienione wody swymi grzebieniami zdały się dosięgać ciężko zawisłych nad niemi obłoków.

Kilka dni szalała burza, przyniosła masy białego śniegu i pokryła nim wyspę, zasypała doliny, zrównała pagórki, a mróz wzmożł się do 20°. Nieznajomy i Kudłatka ujrżeli z przerażeniem całą przystań zawaloną ogromnymi bryłami lodów — po morzu całe ich góry i wyspy pływały. Wiatry gnały je z szaloną siłą z północy — może z samego bieguna — następowała długa 3 miesięczna noc zimowa. Wiatry napędzały co chwila nowe masy śnieżne, pchały całe gromady lodów — uderzyły niemi w przybrzeża — trzęsły skałami, łamały kamienie i unosiły je w głąb morza. Trzeszczał i stękał domek naszego nieznajomego, lecz dobrze zbudowany — oślonięty skałami, wytrzymał nacisk. W takie dni nasz X siedział w ciepłej izbie—czytał i pisał, a Kudłatka spał spokojnie na pęku skór koło pana, i rzadko tylko wstając, wyciągał swe członki, leniwo poziewał, obwąchiwał swego pana, a pokręciwszy na znak zadowolenia ogonem, powracał do swego legowiska i na nowo zasypiał.

Ucichały niekiedy huragany, śnieg przestał sypać, a wtedy nasz nieznajomy z Kudłatką i samojedami wyruszał na łowy. Zatoczą samojedzi ogromne półkole w tajdze, wezmą zwierza w matnię i prą go na ukrytego pod śnieżną kupą myśliwego. Zwierz zwietrzył niebezpieczeństwo i uderza w bok, samojedzi mieszają się, prześcigają w biegu, okrążają znów zwierza i pędzą go na strzelca. Nie są to łatwe strzały i nie zawsze dobrym kończą się rezultatem. To znów innym razem wytropiono włóczącego się niedźwiedzia, a gdy go już prawie dochodzą, nikt nie raptownie w szczelinie skały lub lodowatych złożach i niweczy całodzienne trudy.

Na tych i tym podobnych zajęciach płynęły naszymu X. ostatnie dni jasne, a noc długa, nieubłagane nudna zbliżała się szybko, a z jej pojawieniem jakaś słabość, zniechęcenie i ociężałość opanowała nieznanego. Wstając rano, czuł się nie raz chorym zupełnie, w głowie czuł ustawiczny zawrót, a im więcej ciało słabło, umysł chciał silniej pracować—dawno zapomniane sceny życia, widziane pejzaże słonecznych, południowych krain, znajome twarze jaśniej teraz występowały. A i nasz Kudłatka musiał mieć sny różne i niepokojące. Często mruczał przez sen, szczeakał jak gdyby gonił zwierza—przebierał nogami—lub ogonem bił po skórach, czuł się jednakże o wiele lepiej od swego pana. Jadł dużo i smacznie, wysypiał się na miękkim pościu do woli wtedy, kiedy jego towarzysze zakopani w śniegu kostnieli od chłodu, lub głodem trapieni uganiali się około zagród, odszukując zamarzłych ziół lub pomiotu reniferów. Czasem trwożyły Kudłatkę przeciągłe i rozpaczliwe wycia towarzyszków wędrujących zbliżającego się polarnego niedźwiedzia lub zgraję zgłodniałych wilków, wtedy wtórował im cichem naszczekiwaniem. Tak płynęły dni długie, okropne swą ciemnością i jednostajnością, aż nadszedł dzień wigilijny.

Nieznamy dziś szczególnie czuł się osłabionym. Ciemna noc i przenikliwy gęsty tuman jak zimnymi kleszczami cisnęły mu skronie swoje odosobnienie i ciężką samotność odczuwał dolegliwie, potrzebował obcowania z ludźmi. Wstał więc z pościu, nałożył na siebie ciepłą kurtę, naciągnął futrzane obuwie, kaptur na głowę, przypiął tyżwy i z przewieszonym przez ramię sztucercem wyszedł z chaty. Noc była cicha, mroźna, niebo pokryte rzęsimi gwiazdami jaśniało wesoło, w północnej dali rżowiła cały horyzont płomienna zorza. Myśl nieznanego uleciała mi-

owoli hen daleko za kamieniste wybrzeże wyspy ku nieznanym dalekim biegunom. Ileż tam, w tej krainie rozegrało się bolesnych scen, ileż gorących, rozpaczliwych modlitw słyszały te dzikie krainy, na ile młodych, przedwczesnych męczeńskich śmierci patrzyły z wyżyn te same gwiazdy—ta sama zorza przyświecała gasnącemu życiu.

O wiorstę od chat samojedów droga nagle ku morzu się pięła, ztąd dusiła chłodem śmiertelnym. Nasz podróżnik głębiej nasunął kaptur na czoło i raźniej przyspieszył kroku. Pies w wesołych podskokach wyprzedzał pana, to zbliżając się, to oddalając od niego. Nagle stanął, uszy nastawił, podciągnął ogon pod siebie—szerść najeżyła się na grzbiecie i z wyciem ku panu podążył. Tu nagle z pod kupy złomów kamiennych podniosła się biała, straszliwa masa i wprost na psa runęła, lecz nim zdążyła go pochwycić błysnął ogień—cichy huk i zwierz zniknęła za skałą. Nie zdążył nasz nieznamy założyć nowego w lufę naboju, gdy z rykiem rzucił się na niego raniony niedźwiedź i podniesioną łapą straszliwy chciał mu cios wymierzyć. Tu pies staje w obronie pana—rzuca się na przeciwnika, który spostrzegłszy innego wroga, miażdży go w swych łapach, lecz w tej chwili wystrzał p. X. przeszywa serce zwierza, który pada obok rozszarpanego Kudłatki. Teraz obaj leżą koło siebie, śmierć ich pogodziła, a biedny nasz podróżnik stoi z pochyloną głową, wpatrzony ławami oczami w gasnące psa źrenice, a gdy ten już żyć przestał, znękany powłócił się samotnie do domu.

Gdy samojedzi na drugi dzień przyszli odwiedzić uczonego, by wypić wódki i zakąsić coś smacznego, p. X. posłał ich po psa i niedźwiedzia. Z niedźwiedzia zdjęto skórę—Kudłatkę zagrzebano obok chaty.

Treść: W „Gody” wigilijne. — Co było powodem utworzenia „Związku Leśników”? — Na podchodne. — Siew i sadzenie sosny na piaskach w Małorosji. — Podszuchanie. — Postrach chłopski. — Różne. — Wywczasy na leśniczówe: Wład. Czerniejewski, Ze wspomnień nieznanego.

Warunki przedpłaty z dostawą: W Warszawie i na powincji: rocznie rb. 8, — półrocznie rb. 4, — za granicą: rocznie koron 24, — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — 5; pojedyncze numeru 40 kop.

Warunki ogłoszeń: Przed tekstem: cała strona rb. 60, pół str. 32, 1/4 str. rb. 18, 1/8 str. 10 rb., 1/16 str. rb. 5 k. 50. Po tekście: cała stronica rb. 50, 1/2 str. 28, 1/4 str. rb. 16, 1/8 str. rb. 8.50 i 1/16 rb. 4.50.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą.

Komplety za rok 1912 w ozdobnej oprawie otrzymać można po cenie Rb. 5 kop. 50 wraz z przesyłką w Administracji.— Za zaliczeniem kop. 20: drożej.

Za listy nadesłane do Redakcji, pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: Gustaw Buseck-Busecki. Redakcja i Administracja: Nowy-Zjazd № 7. Za redaktora: Zygmunt Dekler.